

Misericordia

Miesięcznik Sanktuarium Miłosierdzia Bożego w Ożarowie Mazowieckim

Listopad 2015



NIE LĘKAM SIĘ ŚMIERCI

Nie lękam się śmierci

Nie lękam się śmierci, bo wiem, że czeka mnie Niebo – tak mogłoby pewnie powiedzieć wielu ludzi dążących do świętości. Ja też chciałabym tak powiedzieć, ale wciąż ogarnia mnie obawa, czy zdążę wystarczająco pokochać Boga i człowieka, którego mam kochać jak Jezus, czyli do ofiary z życia. Ach, gdybyż można było raz na zawsze pozbyć się grzechów i odnowić w sobie zaufanie pierwszych ludzi, to sprzed grzechu pierworodnego.

„Zamiast śmierci racz z uśmiechem, przyjąć Panie, pod Twe stopy, życie moje, jak różaniec” (ks. J. Twardowski).

No cóż, przyszła jesień, a listopad to czas, w którym częściej zastanawiamy się nad swoją przyszłością, tą związaną z wiecznością. Skłania do tego wspomnianie zmarłych w dzień zaduszny i rozmyślanie o świętych obcowaniu. Im się już udało i stoją przed Panem. Znają to, co my dopiero poznamy po śmierci. Możemy odważnie powierzać im swoje obawy. Oni wiedzą, jak nam pomóc w naszym pielgrzymowaniu do Królestwa Bożego. Nie zapominajmy o naszych zmarłych, którzy sami dla siebie już nic uczynić nie mogą i czekają na nasze modlitwy w ich intencjach.

W listopadowym numerze opiekun redakcji „Misericordii”, ksiądz Ryszard Gołąbek, debiutuje na jej łamach tekstem o dążeniu do świętości. Przedstawiamy także w obszernym wywiadzie sylwetkę naszego nowego kapłana – misjonarza, księdza Piotra Kalinowskiego. Artykułem Rafała Zaremby przypomnimy zapomniane cmentarze poza granicami Polski. Zachęcamy również do przeczytania wspomnień więźniarki obozów koncentracyjnych oraz ciekawej relacji z odsłonięcia pomnika Danuty Siedzikówny „Inki”.

Spis treści

Nie lękam się śmierci	2
Wydarzyło się	3
Szacunek	4
Świętymi bądźcie...	6
Zaginiony cmentarz	8
Święty Marcin	10
Arka Noego	12
„Poślij mnie na żniwo Twoje, Panie...”	13
Jak długo powinny spać dzieci?	18
Grecja śladami św. Pawła	20
Czym skorupka za młodu...	23
W obozach	25
Mała ojczyzna z naszego nieba	28
Aplikacja do „niszczenia ludzi”	29
Kosz z owocami	30

Misericordia

Miesięcznik Sanktuarium Miłosierdzia Bożego w Ożarowie Mazowieckim

ISSN 2300-0279

Redaktor naczelna: Agnieszka Przybyszewska

Zastępca red. naczelnej: Grażyna Lipska-Zaremba

Redakcja: Tomasz Barański, Iwona Celińska,
ks. dr Ryszard Gołąbek SAC, Aleksander Janus,
Katarzyna Janus, Rafał Zaremba

Autorzy: Aneta Czerska, Antoni Filipowicz,
Maria Lewandowska, Hania

Korekta: Maria Przybyszewska, Beata Wydrych

Skład i łamanie: Maciej Przybyszewski

Fotografie: archiwum redakcji

Adres redakcji:

Redakcja „Misericordii”

Parafia Miłosierdzia Bożego

ul. Poznańska 183

05-850 Ożarów Mazowiecki

e-mail: przybyszewska.redakcja@gmail.com

Konto parafii: 45 1020 1055 0000 9302 0121 3255

Druk: APOSTOLICUM

ul. Wilcza 8, 05-091 Żąbki

tel. 22 771-52-00, 11; fax 22 771-52-07

e-mail: info@apostolicum.pl, www.apostolicum.pl

01 października w czwartek po raz pierwszy w naszym Sanktuarium odbyła się Noc Nikodema (nazwa pochodzi od imienia faryzeusza Nikodema, który nocą przyszedł do Pana Jezusa, by z Nim porozmawiać i wyjaśnić wątpliwości). W każdy pierwszy czwartek miesiąca będzie można przyjść do kościoła, pomodlić się adorując Najświętszy Sakrament i porozmawiać z księdzem w zaciszu pokoiku lub w zakrystii na wszelkie dręczące tematy w przyjaznej atmosferze i anonimowo.

04 października w niedzielę w Sanktuarium Miłosierdzia Bożego odbył się koncert patriotyczny z okazji 71. rocznicy zakończenia działań wojennych Powstania Warszawskiego. Pod dyktando dr Mariusza Latka wystąpiły połączone: chór kameralny Ab Imo Pectore i zespół wokalny Ars Chori z towarzyszeniem Orkiestry Kameralnej. Partie solowe wykonała Magdalena Dobrowolska – sopran. W pierwszej części koncertu zespoły wykonały Rotę, Warszawiankę i Boże coś Polskę a w drugiej Requiem Johna Ruttera.

11 października w sobotę odbyło się spotkanie dzieci przygotowujących się do Pierwszej Komu-

nii Świętej wraz z rodzicami. Na tym spotkaniu rozdano i poświęcono różańce.

09 października w piątek odbyła się Msza święta z modlitwą o uzdrowienie, którą celebrował ksiądz Marcin Gontarz.

13 października rozpoczęło się Seminarium Odnowy Wiary. Jest to cykl dziesięciu, trwających półtorej godziny spotkań rekolekcyjnych. Seminarium prowadzi Wspólnota Przyjaciół Obłubieńca wraz ze swoim opiekunem, księdzem Marcinem Gontarzem.

25 października w niedzielę gościliśmy zakon Rycerzy Kolumba, którzy zapoznali nas ze specyfiką formacji, którą tworzą. Jest to organizacja o zasięgu światowym, gromadząca katolickich mężczyzn. Obecnie na całym świecie Zakon Rycerzy Kolumba liczy około 2 milionów mężczyzn. Rycerze Kolumba stanowią grupę elitarną i są nadzieją Europy na budowanie cywilizacji miłości zgodnie z nauczaniem świętego Jana Pawła II, dzięki któremu Rycerze pojawili się w Polsce. Obecnie w Polsce jest około 4000 rycerzy. Działają na rzecz Kościoła, lokalnej społeczności, rodziny, obrony życia, młodzieży.





HANIA

Szacunek

Panie Boże Wszechmocny,

z całego serca dziękuję Ci za ten szczególnie dzisiejszy dar, za lekcję, której mi dziś udzieliłeś.

Dziś rano moje dzieci znów marudziły i wybrzydzały przy śniadaniu, ociągały się przy wychodzeniu, mąż biegał po mieszkaniu, czegoś nerwowo szukając – to na pewno moja wina, „bo mu gdzieś schowałam”... Staralam się ich zmusić do pośpiechu prośbą, ale głównie groźbą. Przecież się spóźnię do pracy..., przecież robię to dla was, wysilam się, żeby was wypchnąć, bo się spóźnicie do swoich zajęć... Czy wszystko musi być na mojej głowie? Wychodząc z domu, byłam poważnie wkurzona na cały świat. Do tego na drodze korki, a w radiu klótnie – niezależnie od tego, jaką stację włączę. Ach, ci moi bliźni...

Najpierw pozwoliłeś mi, podczas rachunku sumienia, dostrzec moją hipokryzję: ślę Ci żarliwe modlitwy pełne miłosnych wyznań, a potem wracam do moich bliźnich i jestem dla nich niegrzeczna, niecierpliwa, mało wyrozumiała. Narzekam na nich, nie doceniam ich obecności, nie słucham ich racji, walcząc o swoje. Traktuję ich z niechęcią, jakby byli mi tylko ciężarem, choć Ty każesz mi ich kochać, tak jak mnie, grzeszną, kochasz. Przeprosiłam Cię za to, pragnąc poprawy – który to już raz? Poczułam, że kolejny miesiąc przegrywam ze sobą, ale nie wiedziałam, jak zmienić tę postawę, skąd zaczerpnąć motywacji.

A Ty szepnąłeś mi do ucha...

Szepnąłeś mi pełnym troski, miłości i szacunku głosem pewnego taty. Przechodził obok, spiesząc się, jak ja do przedszkola ze swoimi dwoma synkami. Jednego prowadził za rękę, drugiego, młodszego niósł na ramieniu i coś mu opowiadał, tłumaczył. Ton jego głosu, sposób, w jaki zwracał się do swojego dziecka, to wszystko, co można usłyszeć między wierszami, urzekło mnie. Było w tym coś fantastycznego: zachwyt i zaskoczenie, że tak piękny i wielki prezent, jego syn, został jemu, ojcu, dany. W głosie tego rodzica nie było słyhać pośpiechu, irytacji. Zdawał się mówić: „Czymże są te drobne poranne kłopoty wobec faktu, że możemy ze sobą być, mieć relację z drugą osobą, świętym i oszałamiającym darem Pana Boga? A szczególnie z tym wyjątkowym darem, który jest z ciebie, twojej ukochanej osoby i z Boga, darem, który cię kocha wrodzoną i nadaną przez Najwyższego miłością dziecka do rodzica. Z darem powierzenia tobie odpowiedzialności za drugiego, darem, który pokazuje, że twój Zbawca ufa tobie i uważa cię za godnego bycia rodzicem i bliźnim. Z darem oglądania co dzień, jak mały Człowiek rozwija się i staje doskonalszy, bardziej złożony i jedyny w swoim rodzaju, odmienny w swoim postrzeganiu świata, w swoich racjach, samodzielny i bogatszy w człowieczeństwo”.

Jezu Ufam Tobie

Ten tata, którego pozwoliłeś mi spotkać, Panie, był w prawdzie. Szybko przekonał mnie do zmiany spojrzenia właśnie dzięki swojej łagodności, szacunkowi do bliźniego. Trzeba z szacunkiem wychowywać, uczyć, kierować się nawzajem ku Prawdzie, która przecież ostatecznie zwycięży, a zwycięży tym szybciej, jeśli będzie podawana właśnie z szacunkiem. Z szacunkiem dla Prawdy i dla drugiej osoby. Wtedy, tak jak to zdarzyło się dzisiaj, nie trzeba walczyć o prawdę, wystarczy, jeśli daje się przykład. To zaszczyt, Boże, że możemy uczestniczyć w życiu innych ludzi, tych, do których nam blisko i tych, którzy patrzą na świat inaczej, a szczególnie i osobiście obdarowani zostaliśmy naszymi najbliższymi.

Boże, Najdoskonalszy, Ukochany Tato, wstyd mi, że nie zawsze szanuję Twoje dary. Dziękuję, że pozwoliłeś mi przejrzeć na oczy, zrozu-

mieć, jak piękne są Twoje podarunki. Kiedy się na nie otwieram, kiedy wychodzę ze swojej skrupy egoizmu i egocentryzmu, patrzenia w swój pępek, przez pryzmat własnej osoby, wtedy z zachwytem i w zdumieniu odkrywam je, nieopisane i fantastyczne.

Jesteśmy podarunkiem Bożym dla siebie nawzajem. Jesteśmy podarunkami już dla siebie samych, bo możemy brać udział w Bożym planie i doświadczać Bożej miłości. Wszyscy bliźni są dla nas darami, a bliscy darem szczególnym i osobistym, tak jak Słowo Boże, Prawo i Ewangelia, jest darem dla wszystkich, a dzisiejsze szepnięcie Ojca szczególnym upominkiem dla mnie.

Panie Boże, pozwól mi zachować ten dzisiejszy zachwyt, aby on się rozrastał i wypełniał całe moje serce. Pozwól mi zaczynać każdą relację od dziękczynienia za dar drugiej osoby.

Amen.



STATYSTYKI PARAFIALNE WRZESIEŃ – PAŹDZIERNIK 2015

Sakrament Chrztu św. przyjęli:

Klaudia Dzieniszewska, Oliwier Zając, Iga Maria Voit, Tymon Porczyński,
Witold Jan Kucel, Mikołaj Frejowski, Adrian Marian Kozłowski,
Nikoła Woźniak, Stanisław Mariusz Niedziałek, Pola Idziak, Zofia Wiktoria Dziudzi,
Liliana Mickiewicz, Róża Maria Piwko, Jan Wilomski, Aurelia Burdach,
Filip Czarkowski, Amelia Laura Mogiła, Iga Olesińska

Związek małżeński zawarli:

Marek Janusz Mańkowski i Iwona Marcinkowska;
Rafał Henryk Kowalski i Agata Maria Grzegorek;
Tomasz Chłopek i Anna Katarzyna Popowska;
Karol Świniarski i Magdalena Jankowska

Do Pana odeszli:

Marek Kusiński 1953 r.,
Władysław Perz 1935 r.,
Jadwiga Pleban 1933 r.,
Jerzy Czesław Skibiński 1948 r.,
Krystyna Aniołkowska 1938 r.

Jezu Ufam Tobie

Świętymi bądźcie...

Bóg stworzył człowieka na swój obraz i podobieństwo. Pragnie, abyśmy byli podobni do Niego – głównie w nieśmiertelności i świętości. Życie człowieka jednak od samego początku staje w sprzeczności, lub delikatniej rzecz ujmując – w niekonsekwencji do tego Bożego daru.

Dylematy człowieka

Człowiek – to brzmi dumnie, jak przekonywał Maksim Gorki. Największą jednak dumą człowieka jest, że to Bóg go stworzył i to nawet na swój obraz i podobieństwo! Być przyjacielem Boga i to podobnym do Niego, daleko więcej znaczy, niż wszystkie zaszczyty ziemskie razem wzięte. Dziwnym jednak zrzędzeniem ludzkiej „mądrości” człowiek od początku istnienia próbuje swoich sił, jakby to on był panem i twórcą wszechświata. Adamowy brak posłuszeństwa, podobnie jak „Non serviam” szatana, przez cały czas ustawia człowieka w kategorii stworzenia, które nie do końca pragnie nosić na sobie znamiona Stwórcy, które – jak sądzi – są dowodem ograniczoności i zależności. Każdy z nas jednak bez specjalnego wysiłku jest w stanie dostrzec, że od różnego rodzaju zależności nie jest w stanie uciec, ani się im oprzeć. Wystarczy choć-

by tylko przywołać z pamięci prawa fizyki. Nie da się ich ignorować – trzeba (i to z żelazną konsekwencją) ich przestrzegać, by nie ponieść szkody. A przecież takich zależności jest znacznie więcej. Do tego dochodzi całe mnóstwo różnego rodzaju przepisów, nakazów, zakazów, zaleceń czy ustaleń, które tworzone przez człowieka, coraz bardziej ograniczają jego wolność i zamykają w ciasnych konsekwencjach narzuconych schematów.

Prawdziwa godność

Zamiast ciągle kombinować i za wszelką cenę doszukiwać się choćby znamion wolności, wys-

tarczy tylko wrócić myślą do Księgi Rodzaju, by przekonać się, że Bóg nie tylko stworzył człowieka na swój obraz i podobieństwo, ale też zaprosił go do bardzo zaszczytnej współpracy. Adam, aby mógł poczuć się panem i współtwórcą, został poproszony przez Boga, by sam nadawał imiona wszelkim stworzeniom. W mentalności semickiej nadanie imienia czy nazwanie czegoś dawało przywilej posiadania – przejęcia na własność. Zupełnie także nie funkcjonuje w naszej świadomości inny, bardzo istotny fakt – przecież w każdorazowym akcie poczęcia nowego życia ciągle obecni są rodzice (choć niekiedy spełniają obecnie jedynie rolę dawców) i Bóg stwarzający w tym momencie nieśmiertelną duszę. Czyż można sobie wyobrazić doskonalszą współpracę w dziele stwarzania świata? Oczywiście, ktoś, kto chce



Karta pocztowa z lat 1900-1945, Wypędzenie z Raju

widzieć w seksie jedynie źródło przyjemności, będzie skutecznie przekreślał prokreację, a z nią i samego Boga, będącego wówczas jeszcze jednym niewygodnym elementem takiej układanki.

Powrót do świętości

Bóg ciągle zabiega o każdego człowieka. Szanując jego wolność, nie zmusza do niczego, ale ciągle proponuje. Ta propozycja – jeśli się głębiej zastanowić – jest jedyną odpowiedzią na wszelkie pytania o to, co po śmierci. Czujemy swoją wielkość i pragnienie wieczności, ale wieczność bez Boga staje się w tym rozmyślaniu zupełnie nie-

logiczna, a nawet tragiczna. A wieczność z Bogiem, to wieczność w niebie. W niebie zaś mogą się znaleźć tylko święci. To dlatego Bóg mówi i do każdego z nas: „Świętymi bądźcie, bo Ja jestem Święty” (Kpł 11, 44). Chce mieć nas wszystkich u siebie. „Tak bowiem Bóg umiłował świat, że Syna swego Jednorodzonego dał, aby każdy, kto w Niego wierzy, nie zginął, ale miał życie wieczne. Albowiem Bóg nie posłał swego Syna na świat po to, aby świat potępił, ale po to, by świat został przez Niego zbawiony” (J 3, 16-17). Sam Jezus zaś dopowie: „W domu Ojca mego jest mieszkań wiele. Gdyby tak nie było, to bym wam powiedział. Idę przecież przygotować wam miejsce” (J 14, 2).

Śmierć – przejdziem

Zastanawiając się nad potęgą śmierci, musimy dopuścić do siebie również myśl, że śmierć nie ominie nikogo, także ciebie i mnie. Nie można zatem patrzeć na śmierć jedynie jak widz przed telewizorem, który ma pewność, że nawet najbardziej drastyczne sceny, które ogląda, nie wyjdą z ekranu, by stać się częścią jego życia. Doświadczenie podpowie nawet, że i wiek człowieka nie stanowi żadnego zabezpieczenia – i to nie tylko przed potęgą śmierci, ale nawet przed jej rychłym nadejściem. Skoro tak, to czy nie jest rzeczą ze wszech miar właściwą, a nawet konieczną, by już teraz, od zaraz, zacząć żyć tak, by sobie na niebo zasłużyć?

Życie Bogiem

Owszem, mamy świadomość, że świętość nie jest jedynie naszą zasługą – to przede wszystkim owoc miłosierdzia Bożego. Ale chociaż świętymi – w pełnym tego słowa znaczeniu – stajemy się po każdorazowej spowiedzi, kiedy otrzymujemy rozgrzeszenie, to i tak zdajemy sobie sprawę, że ten skarb „przechowujemy w naczyniach glinianych”, a co za tym idzie, potrzebujemy ciągłej walki ze złem i naszymi słabościami, by ten dar nie był jedynie doświadczeniem chwilowym, na kilka dni lub godzin po każdorazowej spowiedzi, których częstotliwość też należy zweryfikować, ale codziennym życiem Bogiem i Jego łaską. Wpatrując się w życiorysy świętych, zauważamy, że ich świętość nie była tylko jednorazowym ak-

tem, ale całym życiem, którym potwierdzali swoje pragnienie Boga nawet wówczas, gdy wymagało to wiele wysiłku.

Niebo dla wszystkich

Do liczного grona świętych ogłoszonych przez Kościół, pierwszego listopada dołączamy w liturgii wszystkich tych, którzy osiągnęli niebo, a z różnych względów – głównie przez swoją mnogość – nie zostali dołączeni do tej szacownej listy. Wpatrując się w nich wszystkich, zanosimy tym żarliwszą modlitwę za tych naszych bliskich zmarłych, co do których nie mamy pewności, że niebo jest już ich udziałem. Nasza modlitwa, Msze św. czy odpusty zupełne za nich ofiarowane są dla naszych zmarłych nieocenioną pomocą, ale i dla nas szansą, że przez ten bardziej żywy kontakt z Bogiem, owe pobożne praktyki odnowią w nas żywe relacje z naszym Panem. Wierząc zaś w świętych obcowanie, należy także pamiętać, że owi święci – ci ogłoszeni przez Kościół, ale i ci nieznani (w tym także ci, którzy z czyśćca przeszli do nieba dzięki naszym modlitwom) – będą się wstawiać u Boga za nami, by nasza wiara dała także nam sposobność do spotkania się po śmierci z tymi wszystkimi, co są w niebie, a których znaleźmy tu na ziemi. Oby nikogo z nas nie zabrakło tam, gdzie będą wszyscy nasi znajomi, za których się modlimy, wszyscy ci, z których czerpiemy dobre przykłady dla naszego życia na ziemi, ale przede wszystkim Bóg, który nas stworzył na swój obraz i podobieństwo. Starajmy się więc już od dziś być do Niego podobni.



FOT. Z NIEKUPUE REDUCOE TO COM PL

Zaginiony cmentarz

W latach rewolucji kulturalnej w Chinach (1966-1976) ofiarą niszczycielskiej kampanii hunwejbínów (komunistyczna organizacja młodzieżowa „Czerwona Gwardia”) padł cmentarz w Harbinie, gdzie spoczywali również Polacy.

Czytając tę informację, pojawia się pytanie – co to byli za Polacy, którzy zostali pochowani w jakimś chińskim mieście odległym od Polski ponad 9 tysięcy kilometrów?

Aglomeracja Harbin, licząca obecnie prawie 10 milionów mieszkańców, jest stolicą dawnej Mandżurii. Miasto rozwinęło się od osady założonej w 1898 roku przez inżyniera Adama Szydłowskiego na potrzeby budowy Kolei Wschodniochińskiej wiodącej z Chity do Władywostoku. Budowa długiej na około 2,5 tysiąca kilometrów linii kolejowej trwała kilka lat. W Harbinie zlokalizowana była dyrekcja kolei, a pierwszym jej wiceprezesem był inż. Stanisław Kierbedź, bratanek budowniczego mostu w Warszawie (o rodzinie Kierbedźów i ich związku z Ołtarzewem pisaliśmy we wrześniu ubiegłego roku). Stanisław Kierbedź zaprojektował też żelazny most kolejowy na rzece Sanguri, z którego miasto korzysta do dziś. W Harbinie osiedlali się projektanci, budowniczowie, robotnicy, kolejarze i urzędnicy nowo zbudowanej kolei i w niedługim czasie liczba Polaków osiągnęła liczbę 7-10 tysięcy. W ciągu 25 lat społeczeństwo polskie świetnie się zorgani-

zowało. W latach 1915-1949 funkcjonowało gimnazjum im. H. Sienkiewicza, szczytujące się bardzo wysokim poziomem nauczania (absolwentem szkoły był Teodor Parnicki, autor powieści historycznych). W 1918 roku została założona drużyna harcerska im. H. Sienkiewicza. Związek Młodzieży Polskiej powstał w 1921 roku. Utworzono w nim sekcję sportową oraz sekcję orientálną, mającą za zadanie poznawanie Mandżurii i Chin. Ta pierwsza cieszyła się sporym zainteresowaniem – powstały drużyny hokeja, koszykówki i piłki nożnej, które odnosiły niemałe sukcesy w Japonii, Korei i Chinach. 8 czerwca 1925 roku w gimnazjum im. H. Sienkiewicza w Harbinie została zorganizowana „Straż Maryi” – organizacja młodzieży gimnazjalnej, mająca na celu zrzeszenie całej młodzieży polskiej w Azji na zasadach religijno-narodowych.

Istniały polskie organizacje społeczne, między innymi Stowarzyszenie „Gospoda Polska”. Powstało ono na bazie istniejącego już związku śpiewaczego „Lutnia”. Dnia 28 sierpnia roku 1907 (wg kalendarza prawosławnego) generał-lejtnant Bronisław Grąbczewski, kierujący zarządem Kolei Wschodniochińskiej w Harbinie, zatwierdził statut stowarzyszenia. Statut musiano drukować w Warszawie, gdyż na miejscu nie było drukarni z łacińskimi czcionkami. Stowarzyszenie prowadziło sekcję teatralną, bibliotekę oraz wydział filantropijny; prowadzono również kurs języka polskiego oraz literatury. Dzięki stowarzyszeniu powstaje w 1908 roku szkoła podstawowa, w której prowadzono lekcje języka polskiego oraz lekcje religii w języku polskim. W roku 1912 zrodziła się myśl o zbudowaniu własnej siedziby dla „Gospody Polskiej”. Budowa była prowadzona szybko i już 5 stycznia 1913 roku „Gospoda Polska” otworzyła swoje podwoje. W następnym roku została dobudowana sala teatralna.



Polska szkoła i kościół w Harbinie

Pierwszym polskim stowarzyszeniem był powstały w 1901 roku „Komitet Kościelny”, którego celem było zbieranie funduszy na budowę kościoła polskiego w Harbinie. W sierpniu 1917 roku działało już 16 polskich stowarzyszeń, a 30 w połowie października 1919 roku. Z czasem liczba ich ograniczyła się do 14. Od 1922 roku działało „Towarzystwo Badania Mandżurii”, a od 1930 roku „Polskie Koło Wschodnioznawcze”.

Drukowano prasę w języku polskim; do roku 1927 powstało około 20. tytułów gazet codziennych, tygodników i innych periodyków. Były wśród nich: dwutygodnik „Kurier Polski”, tygodnik „Niepodległość”, dwutygodnik „Przegląd”, miesięcznik „Ruch Chrześcijańsko-Społeczny”, „Tygodnik Polski”, „Listy Polskie z Dalekiego Wschodu” i „Polski Kurier Wieczorny Dalekiego Wschodu”, „Ojczyzna”, „Listy Harbińskie”, „Wiaterek” i dwutygodnik „Pismo humorystyczno-satyryczne”.

Funkcjonowały dwa polskie kościoły katolickie. Kościół pod wezwaniem św. Stanisława został ukończony i wyświęcony przez biskupa Jana Cieplaka w 1909 roku. W 2004 roku, po szaleństwach rewolucji kulturalnej, ponownie odzyskany na cele religijne, otrzymał wezwanie Najświętszego Serca Jezusa i jest obecnie katedrą administratury apostolskiej Harbinu. Z uwagi na dużą liczbę katolików w 1922 roku rozpoczęto budowę drugiego kościoła. Z dotychczasowej parafii św. Stanisława wydzielono część handlową, tzw. Przystań i w 1924 roku utworzono parafię św. Józefa, której pierwszym proboszczem był ks. Antoni Leszczewicz.

W Harbinie w 1933 roku w drodze do japońskiego Niepokalanowa zatrzymał się ks. Maksymilian Maria Kolbe.

Polacy założyli pierwszy w Chinach browar, a produkowane piwo Harbin do dziś jest bardzo popularne na chińskim rynku. Powstała też działająca do dzisiaj fabryka tytoniu, a Chinki do dziś w Harbinie sprzedają kiełbasę, której nie można kupić w żadnym innym miejscu w Chinach. Po-



Harbin - dzwonnica przy wejściu na d. cmentarz

lacy zbudowali cukrownię w Aszyche, a Władysław Kowalski, zwany królem Mandżurii, prowadził ogromne przedsiębiorstwo leśne i tartak. W dwudziestolecie międzywojennym istniało połączenie kolejowe Harbin-Ciechocinek, którym polscy mieszkańcy Harbinu jeździli luksusowymi wagonami pullmana do sanatorium. W roku 1924 Rosja Sowiecka i Chiny zawarły porozumienie, na podstawie którego na kolei mogli pracować jedynie Chińczycy i Rosjanie. Spowodowało to, że Polacy zaczęli opuszczać Harbin. Po zakończeniu II wojny światowej w ramach akcji repatriacyjnej setki Polaków wróciły do kraju. Pozostała część opuściła Harbin w latach 50. i 60. XX wieku. Wielu z nich osiedliło się w Szczecinie (19 maja 2015 roku zmarł dr Leon Spychalski, prezes szczecińskiego Klubu Harbińczyków, urodzony w 1926 roku w Harbinie). Ostatni Polak wyjechał z Harbinu w 1993 roku – był to pan Edward Stokalski. Już w 1957 roku wspólnota polskich harbińczyków zorganizowała pierwszy zjazd w Warszawie.

W 1949 roku komuniści chińscy zlikwidowali wspólnotę polską w Mandżurii. W latach rewolucji kulturalnej zniszczono cmentarz, a na jego miejscu zbudowano park rozrywki z diabelskim młynem. Dzwonnice i fragment kaplicy pozostawiono jako atrakcje turystyczne. Jedynie cztery imienne polskie nagrobki przeniesione zostały na odległy o 20 kilometrów od miasta cmentarz, do kwatery prawosławnej. ■

Święty Marcin

Marcin z Tours żył w IV wieku po narodzeniu Chrystusa. Data jego urodzenia nie jest pewna, według jednych źródeł mogło to być w roku 316, 317 lub nawet 310, inne podają, że urodził się w 335 roku.

Data śmierci przekazana została dokładnie – było to 8 listopada 397 roku w Candes, na terenie dzisiejszej Francji. Miejscem urodzenia była Panonia, która mieści się na obszarze dzisiejszych Węgier. Ojciec jego był trybunem wojskowym (był to stopień oficerski w wojsku starożytnego Rzymu) i kiedy Marcin miał około 6 lat, przeniesiony został do Pawii, miasta we Włoszech. Będąc w rodzinnym mieście ojca, poznaje nauki chrześcijańskie i w wieku 10 lat jest gotów do przyjęcia chrztu. Rodzice jego byli temu przeciwni. Ojciec jego pragnął, by Marcin poszedł w jego ślady i dlatego w wieku 15 lat umieścił go w armii rzymskiej. Źródła nie są zgodne co do ilości lat spędzonych przez św. Marcina w wojsku – podają od 5 do 25 lat. W roku 338 Marcin ze swoim garnizonem zostaje przeniesiony do Amiens. Tu ma miejsce zdarzenie, które jest znane całemu światu chrześcijańskiemu. Zimą u bram miasta spotkał półnagiego, drżącego z zimna żebraka. Ponieważ już rozdał swój żołd potrzebującym, zdjął płaszcz, rozciął go na pół i okrył biedaka jedną częścią. Następnej nocy miał widzenie Pana Jezusa w całym majestacie, otoczonego chórem aniołów, okrytego połową płaszcza wojskowego. Jezus rzekł: „Marcin spragniony Mejs nauki, okrył Mnie”.

Pod wpływem tego wydarzenia Marcin przyjmuje chrzest i występuje z wojska. Udaje się do Francji, do miasta Poitiers, do znanego i cenionego świętego biskupa Hilarego. Ten przyjmuje serdecznie Marcina, udziela mu niższych święceń i poleca udać się do rodziców, by nawrócić ich na chrześcijaństwo. Praca jego przynosi efekty w postaci nawrócenia matki i kilku krewnych, ale zostaje wygnany przez zwolenników heretyckiego Ariusza. Schronił się na bezludnej wyspie



św. Marcin

Galinari leżącej naprzeciwko Genui, gdzie żył jak pustelnik, co było jego pragnieniem. W niedługim czasie skupiło się wokół niego grono uczniów i naśladowców. Biskup Hilary w 361 roku zawiązał Marcina do Poitiers, gdzie wspólnie założyli klasztor w Ligugé. Przyjmuje się, że był to pierwszy klasztor we Francji. Dziesięć lat później umiera biskup Tours. Wierni i duchowieństwo są jednomyślni: następcą ma być Marcin, który mimo osobistego oporu i niechęci zostaje biskupem w 371 roku.

Z wyborem na biskupa związana jest historia z gęsiami. Nie chcąc przyjąć ofiarowanej mu funkcji, uciekł i schował się w szopie, gdzie chowano gęsi. Ptactwo przestraszone intruzem wszczęło głośny alarm, czym wydało przyszedłemu biskupa.

Biskup Marcin z Tours znany jest jako głosiciel Ewangelii na wsi galijskiej. Systematyczny

i dokładny w swojej pracy odbył wiele wypraw misyjnych. Burzył ołtarzyki stawiane dla pogańskich bóstw, kazał niszczyć pogańskie świątynie, głosił Ewangelię. Według przekazów historycznych ufundował sześć kościołów wiejskich, kolonie mnichów oraz pustelnie. Miłość i szacunek ludu galijskiego zdobył oddaniem się temu, co dotyczyło życia prostych ludzi. Będąc biskupem, prowadził nadal surowe życie pustelnicze i już za życia powszechnie był nazywany mężem Bożym. Współczesny mu historyk i hagiograf Sulpicjusz Sewer opisuje wiele cudów zdziałanych przez biskupa Marcina, jak i walki z nieczystymi duchami. Pod Chartres wskrzesił syna ubogiej wdowy, pocałunkiem uzdrowił chorego na wrzody. Szatan stając przed nim, powiedział: „Zuchwale sobie poczynasz rozgrzeszając tych, którzy przez ciężkie grzechy utracili łaskę chrztu świętego, bo kto raz upadł, temu Pan Bóg odmówi miłosierdzia”. Marcin zaś odpowiedział: „Nieszczęsny kusicielu! Jeśli przestaniesz dręczyć ludzi pokusą, i teraz, gdy nadchodzi pora sądu, żalować będziesz swego odstępstwa od Boga, wtedy nie wątp, że w zaufaniu w miłosierdzie Boże i tobie nawet udzielię rozgrzeszenia!”.

Święty Marcin nie kończył szkół, ale wiara jego była żywa i przekazywał ją swoim uczniom w sposób prosty poprzez porównania z życia. Widząc świeżo ostrzyżoną owcę, powiedział: „Otóż widzicie owieczkę, która spełniła przykazanie Ewangelii świętej. Miała ona dwie sukienki, z których jedną podarowała temu, co nie miał żadnej. Tak i wy czyńcie!”

Marcin z Tours zmarł 8 listopada 397 roku w trakcie podróży duszpasterskiej. Ciało jego przewieziono Loarą do Tours i tam dnia 11 listopada w obecności wielu biskupów, kapłanów i ok. 2000 mnichów i mniszek oraz tłumów wier-

nych złożono go do grobu. Następca na stolicy biskupiej w Tours polecił wzniesć nad grobem kaplicę, a w kilkanaście lat później powiększono ją do rozmiarów bazyliki.

Żywot świętego Marcina Sulpicjusza Sewera spowodował, że jego kult był bardzo silny i jest aktualny po dzień dzisiejszy, co widać choćby po popularności imienia Marcin, i to nie tylko w Polsce. Jest on patronem ponad 70 kościołów oraz 134 parafii w Polsce.

Postać św. Marcina obecna jest w herbach miejscowości w Niemczech i Polsce (Jawor, Bad Ems, gmina Granowo, gmina Wiśniowa).

Z kultem świętego Marcina związana jest tradycja pieczenia gęsi na dzień 11 listopada. Gęś często jest nadziewana jabłkami, rodzynkami i kasztanami. Tradycja ta widoczna jest również w przysłowiaach polskich: „na świętego Marcina dobra gęsina”, „na Marcina gęś do komina”.

W Poznaniu od końca XIX wieku istnieje zwyczaj wypieku słodkich rogali na dzień 11 listopada. Początek dał proboszcz parafii św. Marcina, prosząc wiernych, by na dzień patrona parafii zrobili coś dla biednych. Cukiernik Jan Melzer przygotował słodkie rogalce, które rozdał potrzebującym. W kolejnych latach

przyłączyli się do niego inni i w ten sposób otrzymaliśmy rogalce świętomarcińskie, które stały się symbolem Poznania.

W ikonografii zachodniej św. Marcin przedstawiany jest jako legionista na białym koniu, dający część swojego płaszcza biedakowi. Na wschodzie przedstawiany jest w szatach biskupich i z pastorałem.

Jego atrybutami są: dzban, gęś, koń, księga, model kościoła, dwa psy lub zebrak u jego stóp, płaszcz rozcięty na pół.



św. Marcin z parafii w Sobieszowie

Arka Noego

Zagłada ziemskiego świata. Gigantyczna lokalna powódź, straszliwy wybuch uśpionego przez stulecia wulkanu, fale tsunami, trzęsienia ziemi, wieloletnie susze, klęska głodu, epidemia, a raczej pandemia, katastrofa nuklearna – to wszystko może się zdarzyć. Nawet jutro.

Współcześnie pojawiły się nowe zagrożenia, z których większość z nas nie zdaje sobie sprawy. Czasem zaniepokoi nas jakaś petycja w Internecie przeciwko żywności modyfikowanej genetycznie. Uspokajamy się jednak na widok napisu – wolne od GMO. Znacznie częściej straszą nas nieuchronną zmianą klimatu wynikającą nie z naturalnych procesów w przyrodzie, ale z ludzkiej działalności. Odsuwamy szybko od siebie te przerażające apokaliptyczne wizje. Chcemy żyć długo, w zdrowiu i wiecznej młodości. Snujemy jednak plany ochrony naszej ziemskiej egzystencji. Wiele krajów ma banki genów roślin używanych w rolnictwie, ogrodnictwie, sadownictwie, leśnictwie czy dziko rosnących, pozwalających zachować lub odtworzyć różnorodność ekosystemów i upraw danego kraju.

W Polsce najstarszy jest Leśny Bank Genów Kostrzyca w Sudetach, który w tym roku obchodził dwudziestolecie swojego istnienia.

Niepokoje, gwałtowne klęski żywiołowe, lokalne wojny domowe i zamieszki szybko pokazały, że takie zabezpieczenia są potrzebne, ale niewystarczające.

W 2008 roku Norwegowie zbudowali i oddali do użytku dla całej społeczności Ziemi Globalny Bank Nasion zwany „Skarbem Zagłady” lub „Bankiem Noego”. Powstał 1300 km od bieguna północnego, na wyspie Spitsbergen położonej w archipelagu Svalbard, niedaleko najdalej na północ wysuniętej miejscowości

Longyearbyen. Miasteczko ma stałą łączność samolotową z Norwegią, oczywiście, gdy tylko w marcu minie czteromiesięczna noc polarna. Dostęp do Internetu zapewniają poprowadzone światłowody, działa też arktyczny uniwersytet. Bank powstał w tunelach wydrążonych w ogromnym pagórku wiecznej zmarzliny. Na specjalnie przygotowanych regałach ustawiane są skrzynie z materiałem nasiennym roślin jadalnych z całego świata. W tunelach utrzymywana jest temperatura minus 18 stopni.

Do banku złożyło swoje depozyty już około 250 krajów. Bank może przyjąć docelowo 4,5 mln rodzajów nasion. I jest to dwa razy więcej niż gatunków roślin na Ziemi. Jest bezobsługowy. Raz w roku grupa specjalistów sprawdza panujące we wnętrzu warunki.

W trakcie ceremonii otwarcia banku życzone sobie, aby nigdy nie trzeba było korzystać z jego zasobów.

Niestety, okazało się, że nie trzeba globalnego zagrożenia, aby utracić ziarno do zasiewów.

Prasa podała, że do Svalbard Global Seed Vault zgłosiła się po część swoich nasion Syria pogrążona w trwających od kilku lat wojnach. Są to nasiona wydajnych odmian przystosowanych do wzrostu w regionach suchych (fasoli, soczewicy, pszenicy oraz jęczmienia). Narodowy Bank Genów w Aleppo, największym mieście Syrii, został zniszczony w czasie działań wojennych między wojskami rządowymi a rebeliantami w 2012 roku, a trwające cały czas działania wojenne spowodowały zniszczenie zasiewów i utratę materiału siewnego.

Miejmy nadzieję, że to będzie odosobniony przypadek, choć patrząc historycznie miasteczko Longyearbyen, opodal którego znajduje się Globalny Bank Nasion, zostało zniszczone przez Niemców w 1943 roku. ■



Światowy bank nasion Svalbard

FOT. STEVE ROWELL

„Poślij mnie na żniwo Twoje, Panie...”

z misjonarzem, księdzem Piotrem Kalinowskim SAC rozmawiała
Agnieszka Przybyszewska



FOT. KS. PIOTR KALINOWSKI SAC

Oj, najeździł się Ksiądz po świecie...

No tak, trochę się najeździłem, to prawda...

Czy zatem dobrze jest osiaść w Ojczyźnie, czy nadal Księdza ciągnie w dalekie kraje?

O tak, tęsknię bardzo! Za misjami, podróżami. Bardzo dużo podróżowałem, nie tylko jako misjonarz, ale także pielgrzymowałem, na przykład śladami świętego Pawła – po Turcji czy do miejsc objawień maryjnych.

Ile lat spędził Ksiądz na misjach?

Dziesięć lat. Z przerwami, ale w sumie dziesięć lat. Właściwie od skończenia seminarium, gdy wyjechałem na roczną naukę języka francuskiego do Belgii, to z mniejszymi lub większymi przerwami jestem za granicą.

Czyli jednak obieżyświat?

Dokładnie... Ale z biegiem lat widzę, że czas się ustatkować (mówiąc pół żartem, pół serio). Tak całkiem poważnie, to myślę, że trzeba słuchać, co mówi do nas Pan Bóg i iść tam, gdzie nas posyła, aby wypełniać powierzone nam zadania. Jeśli Ożarów ma być moją misją, to mówię: „Panie Boże, Twoja wola”. A tęsknota zawsze pozostanie.

Czy misjonarz powinien mieć jakieś szczególne predyspozycje?

Serce, przede wszystkim serce. Zdolności językowe czy jakieś inne, to kwestie drugorzędne. Na początku jednak tego się obawiałem. Nie sądziłem, że mogę mówić w jakimś innym języku niż polski, wydawało mi się, że nie mam zdolności językowych i obawiałem się, jak sobie poradzę. Okazało się jednak, że trudniej było mi uczyć się

języka w szkole językowej w Belgii, niż swahili, gdy na miejscu przyszło mi odprawiać Mszę św. Oczywiście na początku popełniałem błędy. Zamiast o zmarłych mówiłem o śpiących, ale to tylko zyskiwało mi sympatię moich parafian. I było to przesympatyczne – ten codzienny kontakt z ludźmi, dziećmi, młodzieżą i pytanie ich o różne rzeczy z codziennego życia: jak to czy tamto się nazywa. To przełamywało lody, wzmacniało więzi. Dziś mogę potwierdzić, że najważniejsza jest relacja z drugim człowiekiem, a język – to przyjdzie samo.



FOT. KS. PIOTR KALINOWSKI SAC

Jak się zaczęła służba misyjna?

Ma ona swoje głębokie korzenie, które odnajduję w rodzinie. To wielka miłość mojej mamy do podróży (choć nigdy nie miała okazji wyjechać poza granice naszego kraju). Interesowały ją np. inne kultury, zwierzęta. Lubiła w telewizji oglądać programy przyrodnicze, a ja jako dziecko do tego się dołączałem i też mnie to zachwycało. Wciągnęło mnie to tak bardzo, że z wielkim zainteresowaniem czytałem książki podróżnicze, opisy przyrody, zwierząt – głównie w Afryce. Można powiedzieć, że miłość do podróży wyssałem z mlekiem matki. Właściwie, gdy już zdecydowałem o zostaniu księdzem, to wybór padł na pallotynów, bo dowiedziałem się, że wyjeżdżają na misje – bardzo mnie to motywowało. Dla- ➤



➤ tego, pisząc podanie o wstąpienie do seminarium zaznaczyłem, że chcę być misjonarzem. Potem ponawiałem te podania i prośby, aż wreszcie po ukończeniu formacji i święceniach dostałem wymarzony dekret i mam go do dziś. Pożółkły, ale dla mnie bardzo cenny.

Skoro mowa o kapłaństwie, to proszę nam powiedzieć o tej drodze. Jak się to stało, że siedzi tu przede mną ksiądz katolicki?

O, to ciekawa historia. Przede wszystkim nigdy nie chciałem być księdzem. Nie wyobrażałem sobie życia w kapłaństwie. Myślałem zawsze o założeniu rodziny, planowałem, że będę miał żonę i dzieci. Przypominam sobie, że kiedyś na lekcji religii w szkole podstawowej, jeszcze w salkach katechetycznych, ksiądz proboszcz – już nieżyjący, przewspinał człowieka, z wielkim sercem – powiedział na zakończenie jednej z katechez: „No, chłopcy, który z was chciałby zostać księdzem?” Wówczas chyba ja najgłośniej krzychałem: „Księdzem – nigdy! Tyle jest wspinających zawodów!” Jak mu to potem przypominałem na prymicji, powiedział ze śmiechem: „No widzisz, Pan Bóg Cię pokarał!”

Za głośno ksiądz krzyczał.

Tak, właśnie. Ale chyba takim największym, najmocniejszym akcentem, który w tę stronę prowadził, było spotkanie z pewnym młodym kapłanem. Uczyłem się wówczas zaocznie zawodu stolarza – zresztą to do dziś moje ulubione zajęcie (gdy mam chwilę, lubię coś porobić w drewnie). Spotkanie z ks. Sławkiem Żedlewskim wywarło na mnie ogromne wrażenie. On miał takie bezpośrednie podejście, co mnie bardzo zaskoczyło, bo ksiądz wówczas traktowało się z dystansem

i ogromnym szacunkiem. Zaczął mi opowiadać o swojej pracy z młodzieżą uzależnioną od seksu, alkoholu. To wydało mi się takie dziwne, bo choć miałem bardzo dobre wychowanie, uważałem, że to ich wybór, sami są sobie winni i nie widziałem sensu pomocy, bo przecież ponoszą naturalne konsekwencje swojego postępowania. I to mu szczerze powiedziałem. A on mi na to: „Piotr, spójrz na ich rodziny – dał kilka przykładów – tu rodzina rozbita, tam alkohol”. Gdy mi wskazał źródła problemów, odkryłem coś nowego. Przeżyłem to tak głęboko, że po powrocie do domu nie mogłem zasnąć, tak o tym myślałem. Za dwa tygodnie na kolejnym spotkaniu powiedziałem mu: „Ja chciałbym, będąc kapłanem, robić to co Ty”. Było to wtedy dla mnie samego zaskakujące stwierdzenie. Jednak życie potoczyło się dalej... Przyszedł czas poboru do wojska. Poszedłem do jednostki koło Grudziądza – lasy... nie da się zapomnieć. Wojsko to znakomita, choć bardzo trudna szkoła życia i przetrwania, której nie żałuję – przydała się nie raz w czasie pobytu w Afryce.

Poznałem wspaniałą dziewczynę, rozkwitła miłość, pojawiło się myślenie o założeniu rodziny, warsztatu stolarskiego. Gdy wróciłem z wojska, mój młodszy brat Andrzej zaprosił mnie na spotkanie grupy oazowej i stało się tam coś przedziwnego, coś, czego nie rozumiem do dziś, ale stało się – w czasie czytania fragmentu Pisma Świętego (nie pamiętam którego), gdzieś w sercu miałem takie silne odczucie, wewnętrzne przekonanie: „Zaraz, miałeś iść w innym kierunku, co ty kombinujesz?” To było tak silne, że zaraz po tym spotkaniu poszedłem do mojej ukochanej i powiedziałem jej, że nie będziemy razem. Ileż było



łez i mojego tłumaczenia: „Wybacz mi, moja kochana, ale ja sam tego nie rozumiem, przecież nigdy nie chciałem być księdzem, chciałem założyć rodzinę i być z Tobą, ale nie umiem się temu przeciwstawić”. I poszedłem najpierw do postulatów do Wadowic, a potem do Ząbkowic Śląskich, wreszcie do seminarium w Ołtarzewie. Ona wyszła za mąż. Początkowo nasze spotkania były trudne, ale Pan Bóg pięknie wszystko ułożył, do tego stopnia, że chrzciliśmy ich dzieci.



FOT. KS. PIOTR KALINOWSKI SAC

A wspomnienia z seminarium?

Gdybym powiedział, że było cudownie i łatwo, skłamałbym. Było trudno.

Kolejna szkoła życia?

Tak. Wcześniej skończyłem szkołę zawodową i zaoczne technikum stolarskie. Takie to były czasy. Pochodzę z dużej rodziny – nie było środków na inny rodzaj edukacji. Koledzy po szkołach dziennych – to była dla mnie niemal przepaść. Wymagało to ode mnie ogromnej pracy, zmagania się z wieloma przeciwnościami. Pamiętam, jak kiedyś, taki wykończony psychicznie, rozbity, modliłem się przed Tabernakulum i powiedziałem Panu Bogu, że jeśli nie zdam egzaminów, to odejdę. Jakoś wszystko pozdawałem, nawet się zdziwiłem, że magisterkę obroniłem jako drugi.

To jeszcze powiedzmy o rodzinie...

Pochodzę z małej miejscowości Budziska. Parafia Okalewo. Moi rodzice – cudowni ludzie. Oboje z ubogich domów. Zaczynali, jak wówczas większość, bez zaplecza finansowego, ale za to z miłością, którą my, dzieci, odczuwaliśmy. Jest nas dziewięcioro. Mój tato, krawiec, szyl i dorabiał, gdzie się dało, żebyśmy nie odczuwali niedostatku. Szyl również dla nas ubrania. Mama

zajmowała się domem. To, co zapamiętałem, to także ich głęboka religijność. Tato lubił śpiewać pieśni maryjne, szyjąc. Codziennie razem z mamą odmawiali różaniec, a my z nimi, choćby dzieciątek. Kiedy już część z nas, dzieci, odeszła z domu i mieli więcej czasu, to mama czytała ojcu na głos Pismo Święte, gdy on szyl, a potem nawzajem wyjaśniali sobie to, co zrozumieli. Taki krąg biblijny... To pewnie stąd wzięło się także i moje zamiłowanie do Pisma Świętego. Kilka lat temu zacząłem je czytać tak jak mama ojcu – na głos – i odkryłem, jak wielką sprawą jest takie czytanie... Polecam.

Wróćmy do misji. Powiedział Ksiądz, że Kongo jest tym ukochanym miejscem na ziemi. Dlaczego?

Zacząłem się od tego, że było nas trzech, którzy chcieliśmy jechać na misje, i było wiadomo, że pojedziemy najpierw do Rwandy, bo taka jest praktyka: Warszawa – Bruksela – Kigali. Nie wiedziałem wówczas nic o Kongo, jedynie to, że mamy tam swoją pallotyńską misję. Okazało się, że jeden z nas pojedzie do Kongo. I tak „zrządzeniem losu” trafiłem tam właśnie ja. Jednak przez sześć miesięcy musiałem pozostać jeszcze w Rwandzie, bo w Kongo trwały działania wojenne (1998 r.). To była w jakiś sposób kontynuacja tej masakry, która miała miejsce cztery lata wcześniej w Rwandzie. Gdy wreszcie dotarłem na miejsce, oczarował mnie ten kraj, a najbardziej mentalność mieszkańców, ich otwartość. Powiedziałbym o nich: „afrykańska dusza słowiańska”. Niesamowita otwartość w porównaniu z Rwan-dyjczykami, bo tam jest wręcz odwrotnie. Rwan-dyjczycy niełatwo wchodzą w relacje.

Nasuwa mi się taka myśl, że z naszego europejskiego punktu widzenia wszyscy Afrykanie są jednakowi, a to jednak nieprawda.

Ja też ich tak na początku traktowałem, ale w rzeczywistości są między nimi diametralne, niesłychanie duże różnice. Zarówno nam, jak i im wydawało się, że niczym się nie różnimy, ale z czasem i my, i oni zaczęliśmy się rozróżniać.

Co Ksiądz szczególnie wspomina z czasu posługi misyjnej? Wspomnienia trudne, niezapomniane, budujące, czy też niepowodzenia...

Wszystkie, o których Pani wspomniała. Na początku miałem wiele wyobrażeń o misjach: budowanie szpitali, kościołów, pomoc ubogim, itp. ➤



➤ Standard myślowy...

Tak. Wydawało mi się, że pojadę tam taki mądry i będę im pomagał, ewangelizował, że ich będę czegoś uczył. Ale gdy zdarzyłem się z rzeczywistością, najpierw w Rwandzie, gdzie było jeszcze pełno śladów po bratobójczej wojnie – porozrzucane ludzkie szczątki, miejsca po walkach, przestrelone domy, spalone kościoły – to napawało to tak wielkim lękiem, że nie chciało się tam być i żyć. Ale pamiętam, jak Pan Bóg wspaniale też kierował naszą posługą. Żeby osłabić te obawy, posyłał ludzi. Któregoś dnia rwanadyjska siostra zaprosiła nas na kawę. Było powitanie, zachwyt, radość sióstr i słowa: „Jaki Pan Bóg jest dobry, że w tych strasznych czasach posyła nam nowych misjonarzy”. I lęk natychmiast się rozproszył.

Czyli świadomość, że to jednak Pan Bóg tu działa, posyła, więc i pomaga?

Dokładnie tak. A w Kongo, do którego wreszcie dotarłem, jest przepiękne miejsce – Keshero, niedaleko wulkanu Nyragongo, które wspominam z rozrzewnieniem, choć byłem tam tylko pół roku. Potem była inna parafia, Rutshuru (gdzie byłem już proboszczem), gdzie była i radość z posługi, i był strach – gdy obok naszej misji trwała walka, strzelano do nas i przez osiem godzin leżeliśmy na ziemi, modląc się i czekając na śmierć. To wydarzenie bardzo zbliżyło mnie i moich parafian, którzy byli wdzięczni, że byłem z nimi, że nie odszedłem (choć mogłem). Długo by opowiadać. Ta historia oczywiście nie była bez wpływu na moją psychikę. Ale wtedy pomógł mi mój przyjaciel Jerzy, misjonarz oraz mój najlepszy przyjaciel i współbrat. Zapytał mnie krótko:

„Quo vadis?” Wszystko mi się w tym filmie przypomniało. „Jeśli Ty tam nie wrócisz, to ja tam wrócę”. To były słowa skierowane do Piotra. A ja też jestem Piotr. Zostałem.

Ciekawi mnie, jak to jest z ewangelizacją w Afryce? Szamani, wróżbici, voodoo, ich wierzenia, przyzwyczajenia – nie jest pewnie łatwo z tym walczyć? Z drugiej strony pamiętam scenę z filmu „Ja Jestem” Leszka Dokowicza, gdzie kapłan gdzieś w Afryce...

Ksiądz Stanisław Urbaniak, miejscowość Ruhango – byłem tego świadkiem nie raz.

Niesamowite... Zatem przechodzi wśród ludzi z Najświętszym Sakramentem. Upada przed nim kobieta, chyba opętana, krzyczy. Podbiega kilku mężczyzn, którzy ją przytrzymują. Nikt poza nimi nie patrzy na nią. Oczy wszystkich zwrócone są na Pana Jezusa w Najświętszym Sakramencie. U nas pewnie zainteresowanie poszłoby w kierunku opętanej...

Zgadzam się z Panią. Dokładnie tak się dzieje. Przez pewien czas na misjach odwiedzałem chorych. Oni patrzyli na mnie, jak byłbym samym Jezusem. Była to dla nich niezwykła radość, że sam Pan Jezus przychodził do nich przez kapłana. To jest, moim zdaniem, niewyobrażalne w polskiej rzeczywistości. A wierzenia... one wciąż są obecne. Swego czasu w mojej parafii był nawet kanibalizm, i to nie tylko ten znany nam z opowieści, ale także kanibalizm duchowy. Gdy ktoś z kimś się poróżnił (to kwestia złych duchów), coś jakby zjadało takiego człowieka na odległość. I naprawdę ludzie umierali. Pewien człowiek pomagający w parafii nikt w oczach, chorował – nie wiadomo na co i dlaczego. Ktoś na niego rzucał



klątwy, czary. Człowiek ów umarł. Z drugiej strony jest wśród tych ludzi wielka rzeczywistość duchowa. Wpływy złego ducha są jakby silniejsze, ale też i Boży duch jest intensywnie przyjmowany. Moi poprzednicy rozwinęli bardzo ładny styl ewangelizowania – dla ludzi świeckich poprzez ludzi świeckich. To było bardzo praktyczne, no bo jak trzech kapłanów może obsłużyć czternaście kościołów i dziesiątki tysięcy ludzi? Rozdzielaliśmy więc zadania – rekolekcje, dni skupienia – i szli po dwóch, trzech do danej wioski i przekazywali Kerygmat, a my po kilku dniach jechaliśmy tam spowiadać i błogosławić. W prostych warunkach. Ludzie na takich rekolekcjach wyrzekali się swoich talizmanów i wrzucali je do ognia. Są jednak nadal takie kręgi, w których ludzie w pierwszej kolejności idą do swoich szamanów, by się leczyć. Widać było takie sytuacje, gdy przychodzili na Msze św. do nas, a potem szli odprawiać swoje obrzędy. Tak tam jest do dziś.

Tak sobie myślę, słuchając Księdza, że misje to szkoła pokory...

Zgadzam się. Ja sam mogę o sobie powiedzieć, że byłem kiedyś zadufanym w sobie człowiekiem, a na misjach wszystko ustawiło mi się we właściwy sposób – to, co mówiłem o początkach mojej posługi na misjach, że pojechałem tam z taką butą i chęcią uczenia ich, a okazało się, że to oni uczyli mnie pokory, wiary, miłości do bliźniego. I ciągle uczą, bo to ciągle trwa.

Chodzę teraz, będąc w Ożarowie, do ludzi z Mar-Kotu, tam po drugiej stronie torów. Coś cudownego. Lubię z nimi być. Rozmawiam z nimi, spowiadam i – wie Pani – ja ich często widuję,



FOT. KS. POŁT. KALINOWSKI SAC

jak szperają w śmietnikach, ale nie umiem myśleć o nich źle, bo to moi koledzy, bracia... Najważniejsze to być z nimi... I sprawowanie sakramentów – zwłaszcza spowiadanie – bez tego kapłan może się zagubić. Jan Paweł II powiedział kiedyś: „Kapłan, to ktoś dla innych”. I tego się trzymam.



FOT. KS. POŁT. KALINOWSKI SAC

Został Ksiądz przydzielony do posługi Rodzinom Nazaretańskim i Kościołowi Domowemu. Jest to Księdzu bliska formacja?

Uczę się. W Afryce i na innych misjach byłem kapłanem dłużej niż w Polsce, więc wiele rzeczy jest dla mnie nowych, ale ciekawych. Jestem bardzo zadowolony, że mogę posługiwać w tych wspólnotach.

Ksiądz podobno pięknie gra na akordeonie. Skąd zainteresowanie tym instrumentem?

To podobnie jak z Afryką, zawsze lubiłem dźwięk tego instrumentu. Tata odkupił od kogoś taki trochę połamany, ale grał. Na początku sam próbowałem, ale tata, widząc, że to nie tylko „widzimi się”, wysłał mnie na naukę do pewnego pana, który nawet z nut nauczył mnie grać. W Afryce akordeon zrobił furorę. Podobało się, że gram na takim dziwnym instrumencie i śpiewam w języku swahili. To była wielka radość.

Może będzie okazja, żeby zaprezentować księdza umiejętności jakoś u nas w parafii?

Z największą radością.

A marzenia?

Chyba nauczyć się odczytywać, co Panie Boże chcesz, abym uczynił dla tych konkretnych ludzi, do których mnie posyłasz? Na misjach, w Ożarowie, gdziekolwiek będę posłany...

Dziękuję za rozmowę.





DR ANETA CZERSKA

Jak długo powinny spać dzieci?

Dzieci za mało śpią, gdyż zbyt późno kładą się do łóżka. Trzech na czterech uczniów w wieku 11-15 lat czuje się zmęczonych, budząc się rano do szkoły – pokazują badania duńskiego Statens Institut for Folkesundhed. Wyniki te są niepokojące, gdyż przez ostatnie dwa lata liczba zmęczonych dzieci podwoiła się.

Zdaniem duńskiego lekarza Jerka Langer a dzieci zbyt późno kładą się spać, gdyż – podobnie jak dorośli – są uzależnione od różnych form rozrywki i ekranów: tabletów, telewizorów i telefonów. Powodem jest duża ilość kanałów telewizyjnych, które oferują ciekawe programy o każdej porze. Dodatkowo Facebook i Internet wydłużają czas naszej wieczornej aktywności, przez co ignorujemy potrzeby naszego ciała. Facebook i Internet przeszkadzają nie tylko w położeniu się spać, ale także przeszkadzają w nauce i obniżają koncentrację.

Tymczasem sen odgrywa kluczową rolę w rozwoju dziecka. Niewyspane dzieci to dzieci otyłe. Zdaniem Rachael Taylor z Uniwersytetu Otago w Nowej Zelandii niewyspane dziecko więcej je i mniej się rusza. Jedna godzina snu więcej w wieku 3-5 lat zmniejsza aż o 61% ryzyko otyłości w wieku 7 lat.

Amerykańscy badacze z National Sleep Foundation polecają dla dzieci konkretne długości snu na dobę. Codzienna dawka snu może być różna,

inna każdego dnia, ale powinna mieścić się w poniższych zaleceniach.

- *noworodek (0-3 miesiące): 14-17 godzin*
- *niemowlę (4-11 miesięcy): 12-15 godzin*
- *małe dziecko (1-2 lata): 11-14 godzin*
- *przedszkolak (3-5 lat): 10-13 godzin*
- *uczeń (6-13 lat): 9-11 godzin*
- *nastolatek (14-17 lat): 8-9 godzin*

Jeśli budzisz swoje dziecko o 6:30, to o 19:30 musi już spać. Naszym obowiązkiem, jako rodziców, jest tak zaplanować dzień, aby dziecko spało 11 godzin. Dzieci nie powinny ponosić konsekwencji zbyt długiej pracy rodziców, zbyt długich zakupów lub złej organizacji dnia.

Dziecko nie będzie się chciało położyć, jeśli będzie wiedziało, że domownicy będą zajęci wspaniałą rozrywką, na przykład oglądaniem filmu czy grą na komputerze. Aby maluch chętnie został w łóżku, musi być ono najatrakcyjniejszym miejscem w domu. To oznacza, że reszta domu musi być zupełnie nieatrakcyjna. Wyłączmy więc telewizor, wyłączmy Internet oraz światło.

Aby dzieci kładły się wcześniej, warto przestrzegać kilku zaleceń. Jakość snu poprawiają stałe pory kładzenia się i wstawania. Deficyt snu może się pogłębiać przez dłuższe spanie w trakcie weekendu. Późne wstawanie w sobotę i niedzielę destabilizuje system dobowy i utrudnia zasypianie w kolejnych dniach.

Chcąc obniżyć aktywność małego dziecka przed snem, można czytać mu bajki lub śpiewać



kołysanki. Cały rytuał będzie łatwiejszy, jeśli stanie się codzienną rutyną.

Starsze dziecko nie powinno używać telewizora lub smartfonu przed snem. Ekran urządzeń elektronicznych, takich jak komputer czy tablet, stymuluje mózg i utrzymuje go w aktywności dłużej niż chciałoby ciało. Ponadto nadejście wiadomości zmusza do odpowiedzi, a cała konwersacja trwa dużo dłużej, niż początkowo zakładaliśmy.

Bardzo dobrym nawykiem jest natomiast czytanie. Powoduje ono, że ciało może się rozluźnić, a myśli wyciszyć. Wtedy zmęczenie nadchodzi samo. Dziecko musi wiedzieć, że jest to normalne, aby przed zaśnięciem leżeć i patrzeć przez kilka minut w przestrzeń.

Pewne zalecenia wydają się oczywiste, ale tak bardzo ważne, że nie sposób o nich nie wspomnieć. Na 4 godziny przed snem nie wolno dziecku podawać koli i czekolady. Podając produkty zawierające kofeinę i cukier, zwiększamy aktywność nie tylko mózgu, ale i całego ciała, i wyciszenie przed snem staje się niemożliwe.

Jeśli w nocy chcesz zapewnić dziecku najlepszy wypoczynek, w ciągu dnia znajdź jak najwięcej okazji do ruchu. Dziecko powinno wykonywać jak najwięcej różnorodnych aktywności. Pozwólmy mu biegać, skakać, kręcić się, huś-

tać i wspinać. Im więcej ruchu w ciągu dnia ma dziecko, tym lepsza będzie jakość snu.

Zbyt mała ilość snu nie musi objawiać się zmęczeniem. Dziecko może być niespokojne lub rozdrażnione. Może mieć kłopoty w nauce. Zmiana nawyków nie jest łatwa, dlatego trzeba podjąć decyzję, skupić swoją uwagę na danej zmianie i realizować ją niezwykle konsekwentnie.

Kiedy byliśmy dziećmi, kładliśmy się spać po obejrzeniu dobranocki, która zaczynała się o 19:00 i trwała 10 minut. O 19:30 każdy z nas leżał już w łóżku. W ciągu kilku dziesięcioleci nie są możliwe tak znaczące zmiany ewolucyjne, aby człowiek mógł spać o 20% krócej. Tymczasem wiele stacji telewizyjnych wyświetla w weekend dziecięce hity kinowe w godzinach 20:00-22:30. Kiedy byłam dzieckiem, goście wychodzili z naszego domu przed godziną 21:00. Teraz o tej porze dopiero się rozkręcają.

Zmiany są konieczne. Moi znajomi akceptowali zaproszenia na godzinę 13:00, kiedy wyjaśniałam im, że dzieci kładą się o godzinie 20:00. Ze zrozumieniem podchodzili też do mojej prośby, abyśmy spotkali się u nich wcześniej. Nie oglądajmy się na innych. Niech inni zaczną brać z nas przykład. Ceną jest nasze dziecko i jego rozwój. ■



FOT. FOTORELACJA

Dr Aneta Czarska – pedagog, doradca i trener. Znana jest jako ekspert, który uczy rodziców najnowszych technik rozwoju potencjału dziecka. Z jej usług korzystają ci, którzy już uświadomili sobie, jak ważne są pierwsze lata życia dziecka dla jego dalszych sukcesów szkolnych i zawodowych. Jest jednym z nielicznych pedagogów, którzy łączą i wykorzystują najnowsze odkrycia naukowe do rozwoju inteligencji, pamięci, wyobraźni, kreatywności i naturalnych zdolności dziecka od urodzenia.

Grecja - śladami św. Pawła

Pakowanie, ważenie walizki, bo bagaże ograniczone, nieprzespana noc w oczekiwaniu na poranny wylot z Modlina – tak zaczęła się moja podróż do Grecji wraz z naszym przewodnikiem, księdzem Proboszczem Stanisławem Zarosą i grupą pielgrzymów.

Kilkanaście lat temu byłam na Krete, która pozostawiła wspaniałe wrażenia – gościnności, świetnego klimatu, dobrego jedzenia, zetknięcia ze starożytnością. Teraz z niecierpliwością oczekiwałam, co spotkam na kontynencie, jakie wrażenie zrobi na mnie kraina dawnych Achajów, Spartan, Macedończyków – jacy są dzisiejsi Grecy? A przede wszystkim chciałam zobaczyć miejsca, w których zaczynał swoją działalność misyjną święty Paweł i powierzyć mu swoje intencje...

Wylądowaliśmy w Tesalonikach liczących milion mieszkańców, drugim po Atenach miastem Grecji. Miasto zachwyliło mnie architekturą – domy z charakterystycznymi kolumnami i drewnianymi żaluzjami, łączące współczesność z turecką przeszłością. To także miasto Aleksandra Wielkiego, którego potężny posąg góruje przy portowym pasażu.

Wąskie ulice i przeludnienie powodują korki i zmuszają do parkowania w dwóch rzędach wzdłuż ciągu chodników. Przejechanie przez miasto autokarem wymagało ekwilibrystyki



FOT. ANNA ANDRZCZAK

i znakomitych umiejętności – toteż z podziwem patrzyliśmy na naszego kierowcę, Greka Vladimira, który robił to z łatwością.

Apostoł Paweł, jak podają Dzieje Apostolskie, spędził w Tesalonikach trzy szaty, nauczając. Wówczas wielu Greków uwierzyło i przyłączyło się do niego, ale zazdrośni Żydzi sprawili, że musiał uciekać i schronić się w Berei (dzisiejszej Werii). Do gminy pierwszych chrześcijan w Tesalonikach Paweł napisał dwa listy, które weszły do kanonu Biblii.

I my dotarliśmy do Werii, lecz najpierw odwiedziliśmy Baptysterium z Filipi, gdzie nawróciła się św. Lidia i gdzie Paweł udzielił jej chrztu. To miejsce z szemrzącym strumykiem pamiętało czasy, gdy przemawiał z zapalem apostoł Paweł, a dziś my uczestniczyliśmy we Mszy świętej.

Paweł znalazł się w Filipi, wówczas głównym mieście Macedonii, z powodu dziwnego snu. Przyśnił mu się Macedończyk, który błagał, by Paweł tam przybył i pomógł mieszkańcom. Do Filipi św. Paweł dotarł ok. 50 roku, do której potem jeszcze dwukrotnie powrócił i gdzie napisał znany z Dziejów Apostolskich List do Filipian.

Dziś jednak Filipia nie ma już takiego znaczenia, wyparła je bowiem Kawała (dawniej Neapoli) – nadmorska miejscowość, pięknie położona, z portem i eg-



FOT. ANNA JARON

zotyczną, zachwycającą roślinnością. Tu właśnie znajduje się mozaika przedstawiająca sen św. Pawła i proszącego go o pomoc Macedończyka.

Kawala to miasteczko bardzo urokliwe, które upodobał sobie także nasz pilot – pan Jarosław. Dzięki jego sentymentowi do Kawali spędziliśmy noc w hotelu Oceanic, a rano Ksiądz Proboszcz odprawił Mszę świętą w jedynym katolickim kościółku (parafia liczy zaledwie 30 katolików), który udostępnił nam polski ksiądz Janusz Zwoliński, „obsługujący” kilka takich miejsc. Grecy to w 98 procentach wyznawcy Greckiego Kościoła Ortodoksyjnego. Wierzący ortodoksi uznają Trójkę, Biblię jako Słowo Boże, Jezusa jako Syna Bożego i wiele innych biblijnych doktryn, jednak nie uznają prymatu papieża.

Ten dzień obfitował w wiele wrażeń. Pojechaliśmy na Półwysp Chalkidiki, gdzie czekała nas podróż wzdłuż półwyspu Atos. To kraina zamieszkała przez mnichów, którzy zbudowali swoje państwo w państwie. Odizolowani od świata sami utworzyli własne prawo, zasady funkcjonowania i życia. Kobiety nie mają tam wstępu, dlatego jedyną możliwością podziwiania państwa mnichów jest rejs statkiem. Piękne monastyry, słoneczna pogoda, towarzyszące nam w podróży delfiny wzbudzały niekłamaną zachwyt.

Ouranopolis – miejsce naszego noclegu – to elegancki hotel z basenem i własnym wyjściem na plażę. Przyznaję, że dla mnie była to wspaniała okazja do popływania wszystkimi znanymi mi stylami pływackimi w ciepłym, spokojnym i bardziej zasolonym niż Bałtyk (dlatego bez wysiłku) Morzu Egejskim.

Następny dzień na szlaku św. Pawła obejmował odwiedzenie Werii (czyli opisanej w Dziejach Apostolskich Berei). To tam Paweł ukrył się



przed ścigającymi go, niezadowolonymi Żydami. W miejscu, gdzie przebywał, została utworzona kaplica. Tam odbyła się nasza Msza święta. Weria ma także dobrze zachowaną starożytną drogę, po której zapewne przechadzał się Apostoł Paweł, a także starożytne romańskie kościołki – miejsca modlitw pierwszych chrześcijan.

Stamtąd pojechaliśmy na Riwierę Olimpijską. Z okien hotelu widać było masyw Olimpu, zachmurzony po południu, a widoczny dość dobrze rano. Tu znowu mieliśmy możliwość popływania w morzu. Tym razem plaża była mniej przyjemna, kamienista, lecz wspaniałe fale zachęcały do radosnej zabawy. Rano, gdy na tej plaży Ksiądz Proboszcz odprawił Mszę św., ujrzelśmy wschodzące słońce.

Dalsza droga prowadziła do Kalambaki (miejsca, gdzie pisze się ikony) i do Meteorów. Zawieszone w chmurach monastyry, zbudowane na niezwyklej tworcach skalnych, robiły oszałamiające wrażenie. Po pracowni ikon oprowadzał nas Polak, jednocześnie wyjaśniając proces tworzenia obrazów.

Nasza podróż wiodła także przez miejsca związane ze starożytną Grecją. Widzieliśmy wspaniałe dzieła, do dziś narzucające kanony piękna. W Delfickim Muzeum ➤



➤ i w Koryncie zebrano pamiątki ocalałe ze świątyni Apolla, w Atenach zachwycaliśmy się architekturą i podziwialiśmy kunszt i precyzję wykonania świątyni Ateny na wzgórzu Akropolu, a w Termopilach pomnik poświęcony dzielnyemu Spartanom i ich dowódcy Leonidasowi.

Wiele z tych miejsc stało się także bliskie chrześcijanom ze względu na zakładane tam przez Apostoła Pawła gminy chrześcijańskie – jak w Koryncie, w którym nauczał przez półtora roku. Tam w pobliżu ruin pogańskiej świątyni i miejsca, gdzie św. Paweł prowadził swoją misyjną i ewangeliczną działalność, uczestniczyliśmy we Mszy świętej. Ostatnie zaś nasze modlitewne spotkanie z Panem Jezusem w Eucharystii (greckie: dziękuję) miało miejsce na dziedzińcu hotelu, który sąsiadował z Olimpem – mityczną siedzibą pogańskich bogów.



FOT. AGNIESZKA PRZYBYLSKA

wę – wzbogaconą o pamięć miejsc dotkniętych obecnością św. Pawła, a nie tylko wyobrażeniem tych miejsc.

Grecja pozostanie w mojej pamięci także jako kraina starożytnych filozofów, artystów, a współcześnie radosnych ludzi, którzy nie zważają na problemy. Ludzi, którzy lubią się bawić, debatować, roztrząsać różne kwestie przy dobrej kawie, mający czas na wszystko i donikąd się nie śpieszący. Gdy się do tego doda dobre warunki wegetacji roślin, bujną, przepiękną roślinność, połączenie gór i morza – kraj ten jawi się jak marzenie turysty. Lecz przyznam szczerze, że choć smagnięta greckim słońcem, wypoczęta, to chętnie wróciłam do naszych polskich łąk zielonych, „do tych pól malowanych zbożem rozmaitem, wyzłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem”.

Żegnaj Grecjo – wszędzie dobrze, lecz w domu najlepiej...

Na prośbę pielgrzymów podaję przepis na polską wersję fety (swoją drogą moja zakupiona w Grecji feta została w hotelowej lodówce).

Ser biały twardy (najlepiej chudy), taki, by dało się go pokroić w kostkę, olej rzepakowy – tyle, aby zakrył ser, sporo oregano, trochę ziół prowansalskich, dużo czosnku, sól (trzeba przesolić). Wszystko połączyć, wymieszać, a do sosu z oliwy i przypraw dodać ser, i gotowe! „Feta” robi zawsze furorę, bardzo smakowała także Księdzu Proboszczowi na popielgrzymkowym spotkaniu.



FOT. ANNA ANDRZELCZAK

Żadna pielgrzymka, wyjazd, podróż nie miałaby uroku, gdyby nie ludzie, którzy w niej uczestniczą. Nasza grupa stworzyła fantastyczną wspólnotę (nie wyłączając pana Jarka, pilota), modlącą się nie tylko w swoich intencjach, wypraszając łaski u Pana, a jednocześnie radosną, bezkonfliktową i pomagającą sobie wzajemnie. Obchodziliśmy wspólnie kilka rocznic ślubów małżeństw, które z nami pielgrzymowały. Budowaliśmy się wzajemnie swoim doświadczeniem, wiarą, radościami i smutkami życia.

Po tej pielgrzymce Dzieje Apostolskie będą już zawsze dla mnie miały inną perspektywę.

Czym skorupka za młodu...

Początek października 2015 roku. Po nieprzespanej nocy poświęconej kolejnej koncepcji domu, który projektuję dla nieznosnie wymagających klientów, włączam bezwiednie moją ukochaną „Republikę”. To jedyna „cywilna” telewizja, którą daje się oglądać. Jest rzeczowa, bezstronna. Daje szansę na swobodne wypowiedzi ludziom często o bardzo skrajnych poglądach. Wewnętrzny spokój prowadzących, ich profesjonalizm, rzeczowość sprawiają, że nawet najbardziej zapalczywi adwersarze umieją utrzymać emocje na wodzy. Bogu dzięki, że w końcu mamy i taką telewizję. Najczęściej są w niej programy informacyjne lub gorące dysputy polityków czy też dziennikarzy. Lubię to. Często oglądam.

Tym razem „leci” transmisja z jakiejś – chyba ważnej – uroczystości. Masa ludzi. Księża. Jest również biskup. Przyglądam się uważnie. Tak, to ekscelencja biskup Piotr Jarecki! Wracają wspomnienia...

Wróć do nich... Ale cóż to za uroczystość warta transmisji? Tyle młodości, dziwnie znajoma sylwetka kościoła z czerwonej cegły. Tak! Przecież to kościół św. Stanisława Biskupa Męczennika na Woli. Już wiem! Dzisiaj poświęcenie pomnika „Inki”!

Kościół. Szkoła katolicka. Pomnik. Młodzież. Bohaterska „Inka”. Biskup Jarecki.

Moje wspomnienia bezwiednie biegną do listopada 2000 roku. Boże, to już 15 lat! Również kościół. Szkoła katolicka. Pomnik. Młodzież. Tym razem trudna młodzież. Po wyrokach. I... biskup Jarecki!

Wszystko niby tak samo. Czy jednak aby na pewno?

Zerkam na ekran. Profesor Fedyszak-Radziejewska czyta list prezydenta. Są w nim piękne, poruszające słowa:

„Uważam, że nasz naród ma obowiązek czcić niezłomnych bohaterów powstania antykomunistycznego. Są oni też wzorem do naśladowania dla młodego pokolenia Polaków. (...)

Kiedy „Inka” wstępowała do Armii Krajowej, miała przecież zaledwie piętnaście lat – tyle samo, co niektórzy tutejsi gimnazjaliści. Ta Warszawa rówieśniczka doświadczyła nieszczęść, które trudno nam sobie dzisiaj wyobrazić: utraciła oboje rodziców, była dwukrotnie aresztowana przez UB, przeszła ciężkie śledztwo. Pełniła ogromnie trudną służbę, niosąc pomoc medyczną żołnierzom majora Zygmunta Szendzielorza „Łupaszki”. Ale w jej sercu miłość Ojczyzny nigdy

nie przerodziła się w nienawiść do wroga. Na polu walki opatrywała zarówno swoich towarzyszy, jak też rannych przeciwników – zgodnie z zasadą miłości bliźniego. (...)

Dziękuję całej społeczności Katolickiego Zespołu Edukacyjnego im. ks. Piotra Skargi przy parafii św. Stanisława Biskupa Męczennika i wszystkim, dzięki którym powstał ten pomnik. Niechaj przyczyni się on do umocnienia naszej narodowej dumy i tożsamości. Niech przypomina warszawiakom, miejscowym parafianom, nauczycielom, uczniom i ich rodzinom o najlepszych polskich tradycjach patriotycznych i wolnościowych. Niech zachęca, byśmy, tak jak ➤



INKA - pomnik

➤ „Inka”, zawsze byli wierni najwyższym wartościom naszej wspólnoty”.

Kamera biegnie na powrót po twarzach słuchaczy. Pokazuje skupione oblicza kilkunastoletnich dzieci. Są wyraźnie poruszone. Pewnie niejedno z nich staje się w swoim serduszkach taką „Inką” – bohaterem. Znowu bezwiednie wracam do wspomnień sprzed 15 lat.

Tak samo zapatrzona, tam, w oblicze św. Orione duża grupa urwisów z Młodzieżowego Ośrodka Wychowawczego na Barskiej. Przed nimi ksiądz Andrzej – świeżo upieczony dyrektor ośrodka. Jest wszędzie. Zawsze z setkami pomysłów. Dla wszystkich ma czas. Tym razem zaskakuje nas kolejnym pomysłem.

Moje kochane urwisy. I wy, i ja wiemy, jakie z was gagatki, ale dla mnie – kochane gagatki! Wielu z was już zdążyło zaliczyć wyroki, jeszcze więcej poprawczaki. Wiem to wszystko, ale kochani, kiedy przyjechałem do naszego ośrodka, zważył mnie z nóg widok okien w naszym domu. Ktoś zamocował w nich solidne kraty. Długo wahałem się, czy wam o tym powiedzieć, ale kiedy teraz mam do pomocy... św. Orione, ogłaszam wszem i wobec: KRATY ZOSTANĄ Z OKIEN USUNIĘTE! Ich obecność jest upokarzająca i dla was, i dla mnie. Jeżeli św. Orione i moje otwarte ramiona nie zatrzymają was u nas, to i kraty niewiele tu pomogą!

Huraganowi braw nie było końca.

A w telewizji historyk, profesor Piotr Szubarczyk mówił:

„Kochane dzieci – „Inka” w Warszawie! To jest dopiero coś, to jest dopiero coś! Teraz będziecie wchodzić do tej szkoły, patrząc na „Inkę”. I kiedy coś nie będzie tak jak trzeba, kiedy nie będzie szło jak trzeba, przypomnieć sobie, co ona powiedziała. I to jest piękne. Danusia wiedziała w chwili śmierci, że mama nie żyje, że ojciec nie żyje. To jest rodzina, której losy są symboliczne dla losów Polski...”

Jakie szczęście mają dzieci i te z kościoła św. Stanisława Biskupa Męczennika, i te z Młodzieżowego Ośrodka Wychowawczego, i te z innych katolickich szkół. To oni mają okazję czerpać pełną garścią z pięknej historii naszej Ojczyzny, mając wielokrotnie mądrych, oddanych bez reszty swoim pasjom wychowawców, zawsze cu-



św. ks. Alojzy Orione - pomnik

downych patronów, ale również wielu wspaniałych wychowanków, którzy kończyli takie szkoły.

Na początku XX wieku św. Orione powiedział do swoich wychowanków:

„Czyńcie dobro zawsze, czyńcie dobro wszędzie, zła nigdy i nikomu.”

Na dzień przed śmiercią „Inka” – dla mnie już teraz święta – napisała z więzienia:

„Powiedźcie mojej Babci, że zachowałam się jak trzeba.”

Mam nieodparte wrażenie, że „Inka” miała takich rodziców i takich wychowawców, dla których wartości głoszone przez św. Orione były drogowskazem na życie, były świętością.

Dwa kościoły. Dwie szkoły katolickie. Dwie różne koleje losu młodych ludzi. Dwa różne, ale na równi piękne cytaty. Tylko... biskup Jarecki ten sam! I za to wszystko Bogu niech będą dzięki!

W obozach

Wspomnienia Teresy Filipowicz, z domu Ruecker, spisała córka Maria Lewandowska

Obóz w Oświęcimiu

Po kilku dniach wywieźli nas do Oświęcimia. Mówili, że nas wiozą na roboty do Niemiec, więc kiedy po kilku dniach wyrzucono nas z bydłych wagonów i zobaczyliśmy na peronie napis „Auschwitz”, nogi się pod nami ugięły. Wiedzieliśmy, co to znaczy. W tym wagonie, w którym jechałam, kobieta urodziła chłopczka. Ledwo wyszła z wagonu, bo było wysoko i bała się zejść. Trzymała dziecko zawinięte w jakiś kocyk. Niemiec ściągnął ją na siłę. Krzyczała okropnie. Nie wiem, co się dalej stało, bo popędzono nas do mykwy. Zabierali nam kenkarty i spisywali dane. Później musiałyśmy się rozebrać do naga. Smród był taki, że było mi niedobrze. Zachowałam jeszcze mój złoty zegarek, pierścionek z rubinem (zaręczynowy mamy) i łańcuszek z medalikiem. Dwadzieścia dolarów w złocie ukradł mi Szwab w Pruszkowie. Później, kiedy nas wyrzucili na dwór, zakopałam moje skarby koło bloku, w którym był fryzjer, a właściwie fryzjerka. Nie ostrzygła mnie na gołą pałę, bo nie miałam wszy, tylko do ucha, zresztą krzywo. Nikt się tym nie przejmował. Potem aufzejerki popędziły nas do Birkenau. Dostałyśmy okropne ciuchy z wyciętymi prostokątami na plecach i wszytym innym materiałem. Nie były to pasiaki, tylko normalne sukienki, pogniecione, po dezynfekcji. Pantofle miałam całkiem dobre, tylko za małe, ale później, po wlaniu do nich wody, rozeszły się. Niestety drugi palec u lewej nogi, który mam dłuższy, całkiem mi spuchł i zszedł mi paznokcie. Do tej pory mnie boli. Nie było dla nas miejsca w barakach, więc wpędzili nas na plac i przez całą noc czekałyśmy, aż spalą Żydówki i zdezynfekują blok w cygańskim obozie. Były to prowizoryczne baraki. Nie wiem, ile ich było, bo nie wolno było nigdzie chodzić. Zawsze się dziwię, jak pokazują na filmach, że więźniowie chodzili sobie z bloku do bloku. W każdym razie my cały czas byłyśmy w barakach, tylko czasem cichaczem, po wieczornym apelu, chyłkiem ktoś przebiegał.

Cyganek było jeszcze bardzo dużo. One nie męczyły się tymi warunkami tak jak my, bo były przyzwyczajone do tułaczki i zimna. Kiedy w pierwszą noc spałyśmy na pryczach, bez żadnych sienników czy choćby słomy, na gołych deskach, bez koców i bez niczego pod głową, byłam tak obolała, że nie mogłam się ruszać. Cyganki śpiewały i tańczyły. Przychodziły do nas, a właściwie przybiegały. Wiedziały, że pójdą do gazu i okropnie płakały i złorzeczyły, ale młode nic sobie z tego nie robiły. Pewnie myślały, że je to ominie. Za ostatnim cygańskim blokiem zrobiły z kilku cegieł piec i w nocy piekły koty i szczury. Kiedyś Sonia, śliczna Cyganka z rodziny Kwieków, zaprosiła mnie na szczurzą pieczeń. Śmiała się, że nie chciałam tego jeść. Innym razem złapały tusz tego kota aufzejerki i też go upiekły. Przez tego kota stałyśmy dwanaście godzin na placu apelowym, ale nikt się do niczego nie przyznał, bo i tak nic by to nie dało. Kominy krematorium kopciły całe dnie i noce. Smród był okropny. Po kilku tygodniach dowiedziałyśmy się, że mamy jechać do Niemiec na roboty, co było oczywiście bzdurą. Owszem, przewieziono nas, ale do Ravensbrück.

Obóz w Ravensbrück

Kiedy pociąg towarowy wjechał na stację, lał deszcz. Przez zakratowane okna, które były wysoko, ciekła woda, więc te, które stały bliżej okien, były całe mokre. Na szczęście byłam dalej. Kiedy nas wyrzucono z wagonów (wokół rozlegał się wrzask Szwabek-aufzejerek i szczekanie psów), zostałyśmy ustawione piątkami i po bruku miasta popędzone do obozu. Deszcz lał w dalszym ciągu, a że nie miałyśmy na sobie prawie niczego, sukienki oblepiały nam całe ciało i mokre szmaty przyklejały się do nóg. Myślałyśmy, że wreszcie wejdziemy pod dach, ale nie, musiałyśmy przejść kwarantannę. Tak się to nazywało, ale nic nie miało wspólnego z kwarantanną. Kazali nam usiąść na piasku, którego całe zwaly leżały z lewej strony bramy obozowej, i czekać na swoją kolej, żeby wejść na blok. Piasek był cuchnący i mokry, bo deszcz ciągle pa- ➤

➤ dał. Jak się później okazało, w tym piasku zakopywano ekskrementy po chorych na czerwonkę, pospolicie zwaną „durchfalem”. Dlatego zaraza się rozprzestrzeniała, chociaż piasek polewano chlorkiem i lizolem. Po kilku godzinach deszcz przestał padać i wyjrzało słońce. Byłyśmy tak zziębnięte, że trzęsło nami, szczękałyśmy zębami, potem słońce nas trochę osuszyło i wreszcie zaprowadzono nas do bloku 28. Dosłownie przewracaliśmy się z głodu. Dali nam pić, a później po pół miski zupy z kalarepy. Kalarepa była stara i zdrewniała, więc ciągle trzeba było wypływać twarde patyki. Do zupy wkładano po dwa kartofle w łupinach. Kiedy wyrzucałam obierki, już na nie czekały „kościotrupy” – więźniarki, które były tu już dłużej i które nazywano „muzułmanami”. Od tych obierok dostawały jakieś choroby żołądka i umierały.

W Ravensbrück, jak wszędzie w obozach, panował okropny głód. Więźniowie wszystkich narodowości jednakowo cierpieli na bóle brzucha. Żołądki zaciskane sznurówkami i paskami po zjedzeniu klajstrowatego kawałka chleba z szezki dawały o sobie znać okropnymi bólami. W Ravensbrück można było zapisać się do pracy i dostać culagę, tj. dodatek w postaci kawałka chleba z margaryną i plasterka końskiej kiełbasy. Ja i moja sąsiadka z sąsiedniej koi też się zapisałyśmy. Trochę się zaprzyjaźniłyśmy i trzymałyśmy się razem. Była sporo starsza ode mnie i umiała sobie radzić. Janina miała w kuchni jakieś znajomości i często przynosiła suszoną cebulę, która w tym czasie była lekarstwem na wagę złota. W sąsiednim baraku mieszkała babcia z wnuczkami z Holandii, które miały awitaminozę i okropne krosty na całym ciele. Im też Janina przynosiła cebulę.

Kiedy zapisałyśmy się do pracy, nie wiedziałyśmy, co to za praca i na czym polega. Kiedy o szóstej rano wymaszerowałyśmy z obozu, było mokro i mgła. Nasze drewniaki tłukły o kocie łby, bo szłyśmy środkiem ulicy. Teren miasteczka był nierówny, trochę pod górę i w dół. Po lewej stronie był staw i jakiś zamek, a po prawej piękne domeczki w ogródeczkach. Ludzie przyglądali się idącej kolumnie nędzarek. Niektórzy wtykali nam kromki chleba, a inni spluwali na nas i zamykali furtki, jakbyśmy miały im coś ukraść. Jed-

ni dobrzy i współczujący, a drudzy źli i podli, tak jak to jest na całym świecie. Wreszcie doszłyśmy do miejsca pracy za miastem. Miałyśmy wykonać nasyp pod szyny kolejki z lorkami, wąskotorowej. Każda dostała łopatę i przez osiem godzin trzeba było przesypywać piasek z kupki na kupkę. Na rękach miałam bąble i bolały mnie plecy, ale byłam na powietrzu i cieszyłam się widokiem sosen, bo było to koło lasu. Niedaleko była zbudowana latryna z jedną belką nad śmierdzącym dołem. Brzydziłam się tej belki i tego wszystkiego, ale musiałam, niestety, z niej korzystać. Przez tę belkę byłam tylko kilka razy na tych „wykopkach”. Zresztą raz nas oszukali i nie dali culagi. Kiedyś znów padał deszcz i pierwszy raz okropnie się przeziębiam. Dotąd nieraz byłam cała przemoczona, ale tym razem było strasznie zimno. Aufzejerki jak wrony w czarnych pelerynach z kapturami i nieprzemakalnych płaszczach chichotały z SS-manami i paliły papierosy, a my prawie nagie, bez bielizny, cały dzień pracowałyśmy z łopatami w zdrętwiałych rękach. Od tego czasu nie zapisywałam się do pracy.



Ravensbrück, więźniarki w 1939 r.

Co jakiś czas zarządzano odswszawianie bloków i ubrań. Wtedy na cały dzień wyrzucano nas do olbrzymiego namiotu z brezentu, ale ubrania po dezynfekcji były tak samo zawszone jak przed dezynfekcją. Dobrze, że chociaż puszczano gorącą wodę i można się było umyć. Działo się to zazwyczaj przed jakąś międzynarodową komisją Czerwonego Krzyża, albo przed inną ze Szwecji.

W Ravensbrück były bardzo dziwne prycze. Zamiast desek miały wąskie paski sklejk połączone w poprzek listwami. Było trochę lepiej niż

na deskach, ale „sienniki” były ze sznurka papierowego, napełnione wiórkami. Były najczęściej dziurawe i wióry sypały się na niższe piętra. Oprócz tego pasy sklejkę ciągle wychodziły z desek i spadało się razem z całym bagażem na niższej leżącej więźniarkę.

Obóz w Wittenberdze

Kiedy ogłoszono, że jedziemy transportem, byliśmy zadowolone, bo każda liczyła, że może się polepszy, że może będzie jakaś możliwość jedzenia. O szóstej rano wypędzono nas na apel. Było zimno i ciemno. Przeszliśmy po kocich łbach za stację. Znowu załadowali nas do wagonów towarowych. Już nie pamiętam, jak długo nas więzili, bo ciągle się zatrzymywali. Było bardzo zimno. Szron pobielił trawy i krzaki, a my byliśmy tylko w sukienkach. Na drogę dali nam koszule i majtki, ale powinnyśmy mieć coś cieplejszego. Trzęsłyśmy się i szczekałyśmy zębami. Kiedy dojechałyśmy do Wittenbergii, było jeszcze widno. Rozpoczął się przemarsz przez miasteczko do obozu. Waliliśmy drewniakami po szosie, żeby się rozgrzać. Ludzie wychodzili z domów i przyglądali się skazańcom. Doszliśmy wreszcie do obozu. Był to mały obóz. Kilka bloków więźniarskich i kilka administracyjnych z rewirem, czyli szpitalikiem. Bloki były przygotowane na nasz przyjazd, nawet paliły się piecyki. Kiedy trochę się rozgrzałyśmy, zaczął się koszmar. Kasłałyśmy wszystkie i dostałyśmy gorączki. Komentant kłął, że przyjechały zdechlaki. Zanim trochę nam przeszło (dzięki cebuli, którą nam z konieczności musieli dawać) upłynęło kilka dni. Później na którymś apelu zawiadomili nas, że idziemy do pracy, do fabryki samolotów. Miałyśmy pracować przez osiem godzin dziennie i dostawać cukiery w postaci kromki chleba, i jednej ósmej kostki margaryny. Dali nam ubrania robocze, tj. kurtki i spodnie drelchowe w kolorze granatowym. Kiedy pierwszy raz poszliśmy do fabryki, bardzo nam się podobało. Od razu przypdzielano nas do poszczególnych majstrów. Ja trafiłam do montowania centralnego ogrzewania w samolocie. Moim majstrem był Hans Hoffman, Austriak. Był to niezły człowiek, ale z wyglądu okropny. Coś miał z okiem. Powieka mu opadała, a każde oko było w innym kolorze. Gdy mówił, to parskał, a do tego był kulawy. Ludzie, którzy zostali w fabry-

ce, mieli jakiś mankament, bo zdrowsi poszli na front, a mój majster był chyba najpaskudniejszy. Nie żałowałam, że trafiłam do niego. Nie był ordynarny, nie wrzeszczał, jak majster Adeli, i choć parskał, to mówił wolno, tak że łatwo go mogłam zrozumieć i wiedziałam, o co mu chodzi. Moje zajęcie dosyć mi się podobało i dobrze mi szło. Kiedy się już wprawiłam, sama zakładałam całą instalację od kabiny aż do końca kadłuba, a mój majster siedział w kantynie i popijał piwo. Czasem przynosił mi kawałek chleba z kielbasą albo kawałek placka drożdżowego. Pracownicy fabryki dostawali w kantynie drugie śniadanie i kawę. Majster czasem dawał mi kilka papierosów, które mogłam zamienić na chleb. Mówił, że wstyd mu za Niemców, że tak męczą niewinnych ludzi. Kiedy na Boże Narodzenie dostał paczkę z domu, też dał mi kawałek ciasta i kielbasy, a także mydło. W Wigilię przyniósł małą choinkę, którą umocował na dachu środkowego samolotu. Choinkę obwiesiłyśmy paskami z pleksi, z którego zrobiona była górna część kabiny. Pleksi było przezroczyste i bardzo dobrze się paliło, wydzielając ładny zapach. To były nasze świeczki. Aufzejerka, która z nami wtedy była, pozwoliła nam śpiewać koledy, a ponieważ na nocnej zmianie było nas mało, zaprowadziła nas pod prysznic. Była studentką medycyny i nie godziła się z takim męceniem ludzi. Opowiadała, że musiała przez rok pracować za darmo w obozie i w szpitalu.

Pracowałyśmy na dwie zmiany, bo samolotów potrzeba było coraz więcej. Później dowiedziałam się, że były to pierwsze odrzutowce „Albatrosy”. Były to samoloty jednorazowego użytku, obsługiwane przez jednego pilota, swego rodzaju „kamikadze”. Ten, kto zdecydował się na lot, był przygotowany na śmierć. Samolot, jeśli był trafiony, nigdy nie wracał. Co prawda przywieźli kilka opalonych wraków, bo spadły gdzieś blisko, ale pilotów nie widziałam, nie wiem, czy przeżyli. Samolot był uzbrojony w dwa karabiny maszynowe i zabierał tylko jedną bombę, ale za to wielką, jednotonową. Była mocowana pod kadłubem. Wszystkie rurki centralnego ogrzewania były opakowane w beżowe płyty ligniny, które dla mnie były bogactwem. Dawałam je też dziewczynom, żeby wkładały sobie pod bluzy. Było dużo lepiej z taką kamizelką z ligniny. Cdn. ■

Mała ojczyzna z naszego nieba

Są na świecie kraje, gdzie ludzie zachowują się zupełnie inaczej niż w Polsce. W Stanach Zjednoczonych, w zapomnianych miasteczkach, tysiące kilometrów od głównych amerykańskich centrów, ludzie prawie w ogóle nie interesują się tzw. wielką polityką. Nie zajmuje ich, co tam nowego w Białym Domu albo gdzie Barack Obama znowu poleciał tym swoim Air Force One. Nie zaprzętają sobie tym głowy, bo ważniejsze od tego, co słysząc w Kongresie czy u Republikanów, są dla nich sprawy lokalne.

Nikogo w związku z tym nie dziwi, że lokalna prasa w USA ma się znakomicie. Nakłady rosną, bo ludzie chwalą swe małe ojczyzny, czytają o dziurach w chodniku, bo to ich chodnik i ich dziury. Na sprawy w Nowym Jorku nie mają wpływu i m.in. dlatego nie są one dla nich aż tak ważne.

kalnych tytułów stopniowo maleje. Wybierane są raczej tytuły (od prawa do lewa), które prezentowanymi treściami rozgrzewają do białości emocje czytelników. I trzeba przyznać, to one często (i te z prawa, i te z lewa) nakręcają nastroje społeczne i polityczne zaangażowanie. Czytelnik karmiony takimi emocjami rzadko sięga po periodyki lokalne i niszowe, bo tematy tam poruszane wyglądają błado i nieatrakcyjnie. Tytuły lokalne mają jednak choć taki przywilej (o czym zresztą niewiele wie) – mogą głosować na dziennikarza roku w plebiscycie organizowanym przez branżowe pismo „Press”.

Wielu ma jednak za złe organizatorowi konkursu, że lokalne redakcje mają takie samo prawo głosu jak media ogólnopolskie.

– Lecz na tym właśnie polega demokratyczny wybór. Sorry. „To jakby mieć żal, że w wyborach prezydenckich głosuje i sprzątaczką, i profesor” – tłumaczył niedawno w wywiadzie Andrzej Skworz, redaktor naczelny miesięcznika „Press”.

Zanim włączymy telewizor i usłyszymy kolejną pyskówkę i słynne „ja panu nie przerywałem”, proponuję wyjść na spacer i spojrzeć serdecznym okiem na miejsce, gdzie żyjemy, często od lat.

W Ożarowie mamy od niedawna ulicę Józefa Chelmońskiego. Wybitny malarz, interesujący człowiek. Głębką religijność wyniósł z domu. Był tytanem pracy. Biografowie Chelmońskiego podają, że przez 45 lat twórczości namalował ponad 400 obrazów.

„Wszystko, co mam, z naszego dostałem nieba nade mną – a w uszy dziadowskie pieśni i odpustowe Matki Boskiej blaski na oczy, a potem co tylko pomyślę, to wszystko stamtąd poszło” – pisał z Paryża w liście do matki. Czy coś więcej trzeba dodawać...



W Polsce jest inaczej. Kolejne wybory, polityka, walki i spory poszczególnych opcji politycznych – to paliwo, które stanowi ciągle sens życia i główny temat rozmów milionów Polaków. Nic więc dziwnego, że lokalne media borykają się ze swoimi problemami – czytelnictwo i znaczenie lo-

Aplikacja do „niszczenia ludzi”

Pięć lat temu w jednym z tekstów „Misericordii” podzieliłam się z Czytelnikami smutną refleksją dotyczącą internetowego klubu, który usunął ze swojego grona 5 tysięcy osób, które przybrały na wadze w sezonie świątecznym i tym samym nie kwalifikowały się do kategorii „pięknych ludzi”. Ich powrót do społeczności był okupiony ponowną publiczną akceptacją pozostałych członków klubu, pełną upokorzeń i przykrości. Lektura aktualnych nowinek technologicznych wstrząsnęła mną do tego stopnia, że postanowiłam o tym napisać.

Już w listopadzie dostępna będzie na telefony komórkowe aplikacja „Peeple”. Autorkami są dwie Kanadyjki, które w swoim programie umożliwiają komentowanie i ocenianie ludzi w skali pięciogwiazdkowej. Teoretycznie jesteśmy przyzwyczajeni do oceniania innych: studenci oceniają wykładowców, młodzież nauczycieli, pracownicy przełożonych, czy wreszcie sąsiedzi sąsiadów w powszechnym plotkowaniu. Różnica polega na tym, że można to będzie robić bez zgody i wiedzy osoby ocenianej, a ona sama nie musi nawet korzystać z Internetu, a ewentualny jej sprzeciw (gdy się dowie) nie będzie uwzględniany. Wystarczy mieć konto na Facebooku oraz znać numer telefonu osoby, którą chcemy poddać publicznej ocenie. W aplikacji tworzone jest konto wskazanej osoby (którego nie można usunąć) i każdy może, oceniając ją lub komentując, poszerzyć naszą wiedzę o wskazanym człowieku. Autorki tej platformy i oprogramowania zapewniają, że to dobrodziejstwo dla ludzi. Pomoże przy zatrudnianiu nowych pracowników, przy szukaniu pracy, podpowie, czy sąsiedztwo kupowanego domu, czy mieszkania jest „odpowiednie”, pozwoli dobrać sobie ciekawych znajomych, umówić się na randkę z właściwą osobą. Proponują ocenianie osób w trzech kategoriach: zawodowej, prywatnej i, jak to pięknie nazywają, romantycznej.

Ten idylliczny obraz psuje nieco opisywane szeroko w mediach zjawisko hejtowania i trollowania najczęściej pojawiające się na forach, w grupach dyskusyjnych i w portalach społecznościowych. Generalnie, to antyspołeczne zachowania, prowokujące lub burzące dyskusje, ośmieszające lub nawet obrażające autora i sprawę, często przez podawanie nieprawdziwych informacji, gry słowne, prowokacje. Działania takie powodują poczucie zagrożenia, a przede wszystkim podnoszą poziom agresji, który i tak w świetle badań jest w Internecie bardzo wysoki.

Rozwijający się bez ograniczeń (w imię wolności słowa) internetowy ekshibicjonizm pokazuje, że często ludzie nie mają żadnych hamulców, używają wulgarного języka, brutalnie atakują innych, wywierają nacisk, szantażują, szydzą bezlitośnie z innych, poniżają, oszukują na wielką skalę.

Ośmiela ich swoista anonimowość, chęć za-błyśnięcia ciętą ripostą, zadziwienia pomysłem, zszokowania innych i pokazania za wszelką cenę ekstremalnych wyczynów. A ta potencjalnie wielomilionowa publiczność zwiększa poczucie „wartości”. Na tym poziomie człowiek jako osoba przegrywa z tymi prymitywnymi, ale jakże silnymi wrażeniami, ze swoim charakterem, zaletami i wadami, ze swoimi uczuciami, śmiechem i łzami.

Niewłaściwe, odczłowieczone korzystanie z Internetu, uleganie niskim pobudkom i zaspokajanie odlotowych zachcianek niszczy człowieka, zabija w nim człowieczeństwo.

Aplikacja „Peeple” jest kolejnym narzędziem zastępowania międzyludzkich relacji, przedmiotowego traktowania człowieka i propagowania zachowań nie mających wiele wspólnego z człowieczeństwem. Już sama nazwa programu budzi niechęć – „peeple” to połączenie ang. „to peep” – podglądać oraz „people” – ludzie. Widać też wyraźnie, że twórcynie aplikacji pomijają całkowicie sferę duchową człowieka. Nowe narzędzie nie służy do budowania, wzbogacania i rozwoju ludzi, a może prowadzić do ich niszczenia. ■

Kosz z owocami

Mieszkańcy ożarowskich osiedli mogli pożegnać jesień na corocznym spotkaniu w Klubie Osiedlowym przy Obrońców Warszawy 14. Licznie przybyli też przedstawiciele Spółdzielni Mieszkaniowej i członkowie Rady Nadzorczej.

Bohaterką jesiennego wieczoru była piętnastoletka, uczennica Gimnazjum im. W. Pallottiego – Iza Grzywacz. To jej prace – rysunki ołówkiem zdobiły ściany Klubiku. Jak sama twierdzi rysuje od zawsze. Teraz jej rysowanie jest bardziej ukierunkowane i intensywniej praktykowane ze względu na zamiar studiowania architektury. Praca z ołówkiem w rękę sprawia jej ogromną przyjemność i jak sama mówi, nie odczuwa lęku przed dużą płachtą brystolu rozpiętego na sztaludze. Już wie, że bardziej jej odpowiada rysowanie z natury. Na razie nieśmiało sięga też po akwarele. Iza zaprezentowała też swoje prace ceramiczne, które lubi wykonywać. Ćwiczy wyobraźnię, bo wylepiony przedmiot pokrywa różnymi szkliwami, które w momencie tworzenia są w różnych odcieniach szarości i dopiero po wypaleniu w piecu ceramicznym stają się kolorowe. Ona widzi te kolory już w kładzionych szarościach. Wszyscy zebrani podziwiali jej prace, światłocien uzyskany delikatnymi pociągnięciami ołówka i bryłę wydobyłą delikatną, ale pewną kreską. W Klubiku Iza miała swoją pierwszą w życiu wystawę. Życzyliśmy jej powodzenia, wielu sukcesów i kolejnych wystaw. Kibicowała jej siostra z narzeczonym a mama i babcia przygotowały ciasta z jesiennymi owocami.

Na ten jesienny wieczór były przygotowane również inne atrakcje. Znanie wiersze i piosenki o owocach posłużyły za kanwę ciekawego progra-

mu artystycznego. Jabłka, gruszki śliwki w wierszykach przedszkolnych służą do nauki liczenia, w dorosłym życiu symbolizują praktycznie wszystko: miłość, smutek pożegnania, podryw, radość ze spotkania, tęsknotę czy namiętność.

*Wczoraj był duży wiatr
kochany
I tak pięknie śpiewał
O miłości
Gruszki leciały z drzewa
Nagrzane słońcem
Złote
Jak nasza miłość cudna.*



Iza Grzywacz

Ludowa piosenka „Czerwone jabłuszko przekrojone na krzyż” rozpoczęła koncert akordeonowy w wykonaniu pana Józefa Kieszkowskiego. Po wesołym muzykowaniu wszyscy otoczyli stół, na którym królowały owoce w przeróżnych postaciach.

Serwowane były pierogi ze śliwkami ze słodką śmietanką wykonane w przemysłowych wręcz ilościach przez panią Teresę Zdulską, szarlotka Janeczki Kowalczyk i ciasto ze śliwkami babci Izy. Ciasto z gruszkami pachnące kardamonem upieczone przez mamę artystki wieczoru rywalizowało z muszelkami z jabłkami przygotowanymi przez panią Wandę Cierpica.

Na stole królowały dwa fikuśne kosze arburowe napełnione różowymi kulkami owocu i otoczone koreczkami z winogron a dołączone parasoleczki kojarzyły się od razu z ciepłymi krajami. Te smaczne ozdoby przygotował dla gości pan Antoni Janowski.

Dzięki darowi pani Jolanty Siennickiej każdy gość wieczoru wychodził z jabłuszkiem w rękę. A kosz wypełniony owocami zdawał się nie mieć dna. Kolejne spotkanie już za rok. Zapraszamy. ■

Kalendarz parafialny

Listopad 2015

1	Niedziela. Uroczystość Wszystkich Świętych. Ap 7,2-4. 9-14; Ps 24 (23), 1-2. 3-4ab. 5-6; 1 J 3,1-3; Mt 11,28; Mt 5,1-12a;	16	Poniedziałek. Dzień powszedni albo wspomnienie rocznicy poświęcenia rzymskich bazylik Świętych Apostołów Piotra i Pawła. 1 Mch 1,10-15. 41-43. 54-57. 62-64; Ps 119 (118), 53 i 61. 134 i 150. 155 i 158; J 8,12b; Łk 18,35-43;
2	Poniedziałek. Wspomnienie Wszystkich Wiernych Zmarłych. Pierwsza Msza Hi 19,1. 23-27a; Ps 27 (26), 1. 4. 7 i 8b i 9a. 13-14; 1 Kor 15,20-24a. 25-28; Ap 1,5-6; Łk 23,44-46. 50. 52-53; 24, 1-6a; Druga Msza Dn 12,1-3; Ps 42 (41), 2-3. 5; Ps 43 (42), 3. 4; Rz 6,3-9; J 3,16; J 11,32-45; Trzecia Msza Mdr 3,1-6. 9; Ps 103 (102), 8 i 10. 13-14. 15-16. 17-18; 2 Kor 4,14 – 5, 1; J 6,40; J 14,1-6;	17	Wtorek. Wspomnienie św. Elżbiety Węgierskiej, zakonnicy. 2 Mch 6,18-31; Ps 3, 2-3. 4-5. 6-7; 1 J 4,10b; Łk 19,1-10;
3	Wtorek. Dzień powszedni albo wspomnienie św. Marcina de Porres, zakonnika. Rz 12,5-16a; Ps 131 (130), 1. 2-3; Mt 11,28; Łk 14,15-24;	18	Środa. Wspomnienie bł. Karoliny Kózkówny, dziewicy i męczennicy. 2 Mch 7,1. 20-31; Ps 17 (16), 1. 5-6. 8 i 15; J 15,16; Łk 19,11-28;
4	Środa. Wspomnienie św. Karola Boromeusza, biskupa. Rz 13,8-10; Ps 112 (111), 1-2. 3-5. 9; 1 P 4,14; Łk 14,25-33;	19	Czwartek. Wspomnienie bł. Salomei, zakonnicy. 1 Mch 2,15-29; Ps 50 (49), 1-2. 5-6. 14-15; Ps 95, 8ab; Łk 19,41-44;
5	Czwartek. Dzień powszedni. Rz 14,7-12; Ps 27 (26), 1. 4. 13-14; Mt 11,28; Łk 15,1-10;	20	Piątek. Wspomnienie św. Rafała Kalinowskiego, prezbitera. 1 Mch 4,36-37. 52-59; 1 Krn 29,10-11abc. 11d-12; J 10,27; Łk 19,45-48;
6	Piątek. Dzień powszedni. Rz 15,14-21; Ps 98 (97), 1. 2-3ab. 3cd-4; 1 J 2,5; Łk 16,1-8;	21	Sobota. Wspomnienie ofiarowania Najświętszej Maryi Panny. 1 Mch 6,1-13; Ps 9, 2-3. 4 i 6. 16 i 19; por. 2 Tm 1,10b; Łk 20,27-40;
7	Sobota. Dzień powszedni. Rz 16,3-9. 16. 22-27; Ps 145 (144), 2-3. 4-5. 10-11; 2 Kor 8,9; Łk 16,9-15;	22	Trzydziesta czwarta Niedziela zwykła. Uroczystość Chrystusa Króla. Dn 7,13-14; Ps 93 (92), 1. 2 i 5; Ap 1,5-8; por. Mk 11,10; J 18,33b-37;
8	Trzydziesta druga Niedziela zwykła. 1 Krl 17,10-16; Ps 146 (145), 6c-7. 8-9a. 9bc-10; Hbr 9,24-28; Mt 5,3; Mk 12,38-44 lub Mk 12,41-44;	23	Poniedziałek. Dzień powszedni albo wspomnienie św. Klemensa I, papieża i męczennika, albo św. Kolumbana, opata. Dn 1,1-6. 8-20; Dn 3,52. 53b i 54a i 55ab i 56; Mt 24,42a. 44; Łk 21,1-4;
9	Poniedziałek. Święto rocznicy poświęcenia Bazyliki Laterańskiej. Ez 47,1-2. 8-9. 12; Ps 46 (45), 2-3. 5-6. 8-9; 1 Kor 3,9b-11. 16-17; 2 Krl 7,16; J 2, 13-22;	24	Wtorek. Wspomnienie świętych Andrzeja Dung-Lac, prezbitera, i Towarzyszy, męczenników. Dn 2,31-45; Dn 3,57-58a i 59a. 60a i 61a i 62a i 63a; Ap 2,10c; Łk 21,5-11;
10	Wtorek. Wspomnienie św. Leona Wielkiego, papieża i doktora Kościoła. Mdr 2,23 – 3, 9; Ps 34 (33), 2-3. 16-17. 18-19; J 14,23; Łk 17,7-10;	25	Środa. Dzień powszedni albo wspomnienie św. Katarzyny Aleksandryjskiej, dziewicy i męczennicy, albo bł. Marii od Pana Jezusa Dobrego Pasterza (Franciszki Siedliskiej), zakonnicy. Dn 5,1-6. 13-14. 16-17. 23-28; Dn 3,64a i 65a i 66a i 67a. 68a i 69a i 70ab; Ap 2,10c; Łk 21,12-19;
11	Środa. Wspomnienie św. Marcina z Tours, biskupa. Mdr 6,1-11; Ps 82 (81), 3-4. 6-7; 1 Tes 5,18; Łk 17,11-1;	26	Czwartek. Dzień powszedni. Dn 6,12-28; Dn 3,71-72a i 73a. 74-75a i 76a; Łk 21,28; Łk 21,20-28;
12	Czwartek. Wspomnienie św. Jozafata, biskupa i męczennika. Mdr 7,22 – 8, 1; Ps 119 (118), 89-90. 91 i 130. 135 i 175; Łk 21,36; Łk 17,20-25;	27	Piątek. Dzień powszedni. Dn 7,2-14; Dn 3,77-78a i 79a. 80a i 81a i 82; Łk 21,28; Łk 21,29-33;
13	Piątek. Wspomnienie świętych Benedykta, Jana, Mateusza, Izaaka i Krystyna, pierwszych męczenników Polski. Mdr 13,1-9; Ps 19 (18), 2-3. 4-5ab; Mt 24,42a. 44; Łk 17,26-37;	28	Sobota. Dzień powszedni. Dn 7,15-27; Dn 3,83-84a i 85a. 86a i 87a i 56; Łk 21,36; Łk 21,34-36;
14	Sobota. Dzień powszedni. Mdr 18,14-16; 19, 6-9; Ps 105 (104), 2-3. 36-37. 42-43; 2 Tes 2,14; Łk 18,1-8;	29	Pierwsza Niedziela Adwentu. Jr 33,14-16; Ps 25 (24), 4bc-5ab. 8-9. 10 i 14; 1 Tes 3,12 – 4, 2; Ps 85 (84), 8; Łk 21,25-28. 34-36;
15	Trzydziesta trzecia Niedziela zwykła. Dn 12,1-3; Ps 16 (15), 5 i 8. 9-10. 11; Hbr 10,11-14. 18; Łk 21,36; Mk 13,24-32;	30	Poniedziałek. Święto św. Andrzeja Apostoła. Iz 49,1-6; Ps 19 (18), 2-3. 4-5ab; Rz 10,9-18; J 14,6b i 9c; Mt 4,18-22;

TERMINARZ PARAFIALNY

MSZE ŚWIĘTE

niedziele i święta: 7.00, 9.00, 10.30 (dla rodzin),
12.00 (suma), 15.00, 18.00,
20.00 (dla młodzieży)

dni powszednie: 7.00, 15.00, 18.00

NIEDZIELA ADORACYJNA

pierwsza niedziela miesiąca

SAKRAMENT POJEDNANIA

podczas każdej Mszy św.

NABOŻEŃSTWO DO BOŻEGO

MIŁOSIERDZIA

codziennie o 15.00.

W niedzielę transmisja nabożeństwa przez

Radio Niepokalanów i TV Misericordia.

ADORACJA NAJŚWIĘTSZEGO

SAKRAMENTU

codziennie 7.00 - 18.00

I CZWARTEK MIESIĄCA

Msza św. w intencji powołań
kapłańskich i zakonnych: 18.00

I PIĄTEK MIESIĄCA

nabożeństwo do Najświętszego Serca Pana

Jezusa po Mszy św. o 7.00

odwiedziny chorych od 9.00

spowiedź dla dzieci od 16.00

Msza św. dla dzieci: 16.30

I SOBOTY MIESIĄCA

od listopada do maja o 10.00 nabożeństwo

pierwszych sobót miesiąca w dolnym kościele

NABOŻEŃSTWA FATIMSKIE

13 – każdego miesiąca od maja

do października o 18.00

NOC NIKODEMA

pierwszy czwartek miesiąca 18.45 - 21.00

KANCELARIA PARAFIALNA:

czwartek, piątek: 8.00 - 10.00, 16.00 - 17.45

sobota: 8.00 - 10.00

w sprawach nagłych:

Ks. Proboszcz – 603 913 913

Br. Paweł – 798 359 753

SPOTKANIA GRUP

W SALKACH PARAFIALNYCH:

Zywy różaniec: pierwsza

niedziela miesiąca 16.00

Akcja Katolicka:

drugi i trzeci poniedziałek miesiąca 19.00

Grupa Charytatywna:

Spotkania: raz w miesiącu w środę

Dyżury: wtorki 16-18 w magazynie

Ruch Światło - Życie:

piątek 18.00

Wspólnota Faustinum:

trzeci piątek miesiąca 18.30

Wspólnota Krwi Chrystusa:

czwartek po adoracji

Przyjaciele Oblubieńca:

wtorek 19.00

Ruch Rodzin Nazaretańskich:

poniedziałek po Mszy św. o 18.00

Domowy Kościół:

czwartek 18.00

Lektorzy: sobota 10.00

Ministranci: sobota 11.00

Pallotyńskie Nutki:

sobota 14.00

